

NR 1(1) 96 ROK I

Pionierzy

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

899 III / 1996

1996

Zielona Góra - dworzec PKP

Grünberg i Schl. Bahnhof.



- **Godzina zero w Zielonej Górze**
- **Wspomnienia pionierów**
- **Pierwsi nauczyciele, pierwsi lekarze**
- **50 lat PTTK**
- **Dzieje jednej posesji w fotografiach**
- **O nauczaniu historii regionalnej**
- **Świąteczne zwyczaje i porady Babuni**

Strofy o Mieście

(Fragmenty)

1
nie trzeba pochwały dla miasta
ani hymnu
panegiryku autora
ono z nim codziennie
na każdym kroku wyrasta
i w słowach
więc piszę o nim jak człowiek
podzielony na części
który w tańcuszku zdarzeń tkwi
archeolog uroków
kustosz marzeń
kolekcjoner pamięci
żyjący dziś

jest w nim znacznie więcej
niż dla chłopców dziewcząt i kobiet
dla robotników malarzy
dla tych co spać nie mogą
i razem ze mną wyszli
by chwilę wspólnie pomarzyć

ten witraż zielony
dla wszystkich
tyle słów chodzą po głowie
nie zliczę ich
i nie zapiszę
wiecie o tym najlepiej
wy ptaki - przyjaciele
wy drzewa - towarzysze

i ty malowanko lubuska
nie na szkłe
i nie na płótnie
obrazku w rzeźbionych ramach
co chcę cię malować
jak umiem

5
więc czy o tym mieście można wszystko
jak o drzewie ptaku i liściu
albo o gitarze
na przykład w noc
która pęka księżycem
nad alejami
nie marzeń
lecz zwykłych dni tygodnia
wieczorem

w południe
nad ranem
co dnia

albo jak o ratuszu
banalnym w piosenkach i wierszach
wieczorem
w południe
nad ranem
co dnia

albo jak o ratuszu
banalnym w piosenkach i wierszach
gdy śnieg coraz bardziej prószy
i białe sekundy lecą
z zegara niewyczerpanej puszki
na nasze dni niszane
w pęczki minut i godzin
jak mróz
jak śnieg
jak zima
jak czas co przechodzi

(Z tomiku „Tryptyk Lubuski”,
Wyd. Poznańskie 1979 r.)



Rys. Stanisław Para



Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
L. Krutulski-Krechowicz (fotograf)
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski,
Roman Wiatrowski

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Okladka:

Karta pocztowa ze zbiorów
Leszka Krutulskiego-Krechowicza

Druk:

Drukarnia „U Lecha”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca. W materiałach
nadesłanych redakcja zastrzega sobie
prawo dokonywania
zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Od Redakcji

Mamy zaszczyt przedstawić Szanownym Czytelnikom pierwszy numer kwartalnika „Pionierzy”, wydawanego przez Sekcję Historyczną Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry.

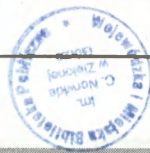
Organizacja zielonogórskich pionierów skupia mieszkańców, przybyłych do naszego miasta w latach 1945 - 1947. Początkowo działała w ramach Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry, zaś od 1991 r. jest samodzielną. Wśród jej statutowych zadań znalazły się działania zespalaające środowisko pionierskie oraz udział w życiu społecznym i kulturalnym miasta. Ważnym obowiązkiem, spoczywającym głównie na Sekcji Historycznej jest dokumentowanie pierwszych powojennych lat, gromadzenie wspomnień, relacji, archiwaliów, fotografii oraz udostępnianie tych zbiorów wszystkim zainteresowanym, w tym szczególnie młodzieży. Realizacji tych powinności ma służyć nasze pismo, o którego wydawaniu myśłano i dyskutowano już od kilku lat. Dziś, dzięki zrozumieniu i wsparciu ze strony zielonogórskiego „Polmosu”, Przedsiębiorstwa „Totalizator Sportowy” oraz Urzędu Miejskiego idea ta może się spełnić.

Łamy „Pionierów” chcemy poświęcić przede wszystkim najnowszej historii Zielonej Góry, widzianej zarówno przez pryzmat wspomnień i relacji świadków wydarzeń, jak i opisywanej na podstawie różnych źródeł przez historyków. Zależy nam bardzo na przedstawianiu historycznej prawdy, ale także uchwyceniu klimatu czasu, atmosfery pierwszych „pionierskich” lat. Będziemy też prezentować problemy środowiska pionierów oraz wszelkie ich związki ze współczesnym życiem miasta - adresatem, a zarazem zbiorowym bohaterem naszego pisma. Perspektywa życia jednego pokolenia może dać interesujący - mamy taką nadzieję - obraz przekształcania się Zielonej Góry z sympatycznego, ale perferijnego miasta winnic i ogrodów, w znaczący ośrodek naukowy, kulturalny i przemysłowy.

Nie chcemy zapominać o pochodzeniu i pierwszych „małych ojczyznach” ludzi przybyłych na zielonogórską ziemię w wyniku wielkiego, powojennego eksodusu. Będziemy też pisać o życiu kulturalnym, gospodarce, turystyce i ekologii, gmachach i ulicach Zielonej Góry.

Pionierów i ich rodziny oraz wszystkich Czytelników serdecznie zapraszamy do dzielenia się z nami uwagami na temat treści czasopisma. Będziemy bardzo wdzięczni za ewentualne udostępnianie nam nieznanych jeszcze wspomnień, pamiątek, fotografii, które mogłyby być upowszechniane na naszych łamach.

W inauguracyjnym numerze przedstawiamy m.in. wspomnienia pionierów: Marii Jodłowskiej, Mieczysława Turskiego, Władysława J. Ciesielskiego. Tadeusz Dzwonkowski opisuje zielonogórską „Godzinę zero” czyli przełomowe dla miasta pierwsze miesiące 1945 roku. Zbigniew Bujkiewicz rozważa rolę tzw. lekarzy domowych w Zielonej Górze w latach 1945 - 1950 zaś Grzegorz Chmielewski przywołuje pamięcią pierwszą powojenną bibliotekę w Zielonej Górze. Te, oraz wszystkie pozostałe publikacje polecamy uwadze naszych Czytelników.



Tadeusz
Dzwonkowski

Zielona Góra pod władzą Komendanta Wojennego
(luty-czerwiec 1945 r.)

GODZINA ZERO

W połowie stycznia 1945 r. większość zielonogórczan była już przekonana o klęsce III Rzeszy. Oznaką zbliżającego się frontu była kanonada artyleryjska pod Głogowem. Słyszano ją już 8 lutego. Miasto powoli wyludniało się. Około 15 stycznia przebywało w Zielonej Górze około 35 000 osób. W dniu wejścia Armii Czerwonej było ich zaledwie 4 000.

Wieczorem 11 lutego władze Zielonej Góry otrzymały meldunek o zajęciu Nowej Soli przez żołnierzy Armii Czerwonej. Operująca w środkowym biegu Odry 3 Armia Gwardyjska gen. W. Gordowa uderzyła z kierunku Nowej Soli i Bytomia na Nowe Miasteczko i Koźuchów. Następnie przełamując nieliczne punkty niemieckiej obrony szybko podążyła w kierunku Nowogrodu Bobrzańskiego. Żołnierzom Wehrmachtu i cywilom znajdującym się w Zielonej Górze groziło odcięcie, zwłaszcza że nieco wcześniej wojska I Frontu Białoruskiego zdobyły prawobrzeżną część Krosna Odrzańskiego.

W tej sytuacji przygotowania miasta do obrony zostały przerwane. Już 12 lutego ważniejsze urzędy i zarządy większych przedsiębiorstw ewakuowano za linię Nysy Łużyckiej. Od południa, 13 lutego, zachęcano przez megafony do opuszczania miasta. Wycie syren i apele ewakuacyjne wywoływały panikę wśród mieszkańców. Cały dzień w stronę Krosna i Gubina ciągnęły kolumny aut i furmanek. Niektórzy próbowali uciekać na rowerach, a nawet pieszo.

Ostatni pociąg z uciekinierami odjechał wieczorem 13 lutego. Jeden z wcześniej odesłanych transportów trafił w Dreźnie na atak lotniczy. Na tamtejszym dworcu zginęło wówczas około 900 zielonogórczan.

Miejscowi komendanci gestapo oraz bezwzględni zwolennicy Hitlera, m.in. Scharmentke, Kappe i Ludewig angażowali młodzież z Hitlerjugend i próbowali organizować rozpaczliwą obronę. Przygotowano również sonderkomando, które już od rana 14 lutego rozpoczęło wysadzanie obiektów strategicznych i unieruchamianie urządzeń technicznych. Zniszczono część instalacji wodociągowej przy ulicy Wodnej, na krótki okres unieruchomiono elektrownię miejską. Na Wzgórzu Braniborskim i na południe od wieży, w winiarni Nippego oddział Volkssturmu ustawił 2 karabiny maszynowe. Na wieść o bezpośrednim zagrożeniu obrońcy wycofali się do centrum miasta. Z drugiej strony natomiast robotnik Alfred Kuntzel, lekarz dr Friedrich Brucks i komunista Karl Laube zawiązali komitet kapitulacyjny.

Ostrzał artyleryjski rozpoczął się o godzinie 13. Początkowo strzelano z dział ustawionych na wzgórzach leżących na południe od Raculi. Po osiągnięciu północnej rubieży tej wioski pododdziały zwiadu ruszyły w kierunku miasta. Niektóre, idąc łukiem znalazły się w Raculce i Starym Kisielinie, inne szły prosto do szturmu na miasto. Pierwsze pociski spadły na budynki przy ulicy Kupieckiej (Niederstrasse) i na Plac

Słowiański (Resourcen Platz). Niebawem podciągnięto lekką artylerię. Na wzgórzu przy ulicy Wrocławskiej, tuż za cmentarzem żydowskim, czerwonoarmiści ustawili 3 działa „osiemnastki”.

Oprócz stałych mieszkańców w Zielonej Górze przebywała bliżej nieokreślona liczba uciekinierów zza Odry. W większości były to osoby starsze, kobiety i dzieci. Należy zauważyć, że już w styczniu zielonogórczanie starali się wysłać swą młodzież w głąb Niemiec. Do grupy mieszkańców miasta w dniu szturmu należy również doliczyć kilkuset robotników przymusowych. Byli to przede wszystkim Rosjanie, Ukraińcy i Polacy. W czasie wojny pracowali oni w fabrykach zielonogórskich.

Wraz z odgłosem wybuchów pocisków artyleryjskich ludność cywilna schroniła się do bunkrów i piwnic. Umacniano je niemalże przez cały okres wojny w obawie przed bombardowaniem lotników alianckich. Nierzadko w jednej piwnicy mieściło się po kilkadziesiąt osób. Niektórzy, zwłaszcza katolicy, zgromadzili się w domu parafialnym. Szukali wsparcia u proboszcza zielonogórskiego ks. Georga Gottwalda, który mógł liczyć ze strony robotników przymusowych na wstawiennictwo u Rosjan.

Czerwonoarmiści krzycząc „hurra” wbiegli do miasta ulicą Wrocławską. Niebawem niewielkie, ruchliwe grupki żołnierzy pojawiły się w okolicach ulic Sikorskiego i Koźuchowskiej 5. Inne podążały do centrum miasta. Skacząc od domu do domu, od bramy do bramy, szturmujący opanowali odcinek ulicy Kupieckiej do skrzyżowania z ulicą Podgórną. Niewątpliwie zagadką dla dowództwa był brak odpowiedzi ze strony Niemców. Dlatego też obawiając się zasadzki, dużą część miasta postanowiono zdobywać przy pomocy zdalnie sterowanego czołgu. Prowadząc nieprzerwany ogień z karabinów maszynowych stwarzał on skuteczną ruchomą tarczę dla nacierających. Gdy czołg osiągnął skrzyżowanie ulic Kupieckiej i Żeromskiego zrezygnowano z frontalnego ostrzału. Tu i ówdzie rozlegały się jednak odgłosy użytej broni. To z piwnic strzelali pojedynczy obrońcy. W okolicach ulicy Dąbrowskiego żołnierze natrafili na kilku zdesperowanych członków Volkssturmu. Polegli oni podczas wymiany ognia. W walkach o miasto i okoliczne wsie zginęło również kilkunastu czerwonoarmistów.

Na przerwanie ataku miała wpływ postawa ks. Georga Gottwalda. U zbiegu ulic Kupieckiej i Kopernika, nawiązał on kontakt z dowództwem szturmujących, informując ich, że miasto nie jest bronione. Podobne wiadomości przekazała również zebrana naprędce grupka robotników przymusowych.

Już w pierwszej godzinie swego pobytu żołnierze zajęli budynki administracji: landraturę przy ulicy Niepodległości, siedzibę NSDAP, policji oraz ratusz. Natychmiast zabezpie-

czono akta, które jeszcze pozostały w biurach. W rozległym budynku landratury zakwaterował się dowódca oraz jego sztab. Na rogatkach miasta, w rynku i przed sztabem osadzono posterunki z karabinami maszynowymi.

W następnych dniach oddziały pierwszej linii osiągnęły rubież Bobru. Nieco wcześniej przez most w Cigacicach wdarły się pierwsze czołgi radzieckie, które rozbiły trzy niemieckie samochody pancerne w rejonie Przylepu. Jednocześnie w okolicach Świdnicy rozbito cofający się od strony Krosna oddział zielonogórskiego Volkssturmu. Operujące w kilkusetosobowych grupach sonderkomando, zdołało jeszcze wieczorem wysadzić most w Cigacicach. Tymczasem do miasta położonego na zapleczu frontu nadciągały kompanie rezerwowe lub wcześniej zdjęte z pierwszej linii.

Pierwsze kilka dni pobytu żołnierzy Armii Czerwonej stały się dla zielonogórczan pasmem cierpienia i upokorzenia. Najwierniejsi stronnicy nazistów odbierali sobie życie, bądź padali ofiarą uporczywego oporu. W ciągu kilkunastu dni popełniono wiele samobójstw. Niektórzy podają, że życie odebrało sobie około 500 Niemców. Wydaje się to mało prawdopodobne. Ich zwłoki znajdowano w mieszkaniach jeszcze na początku marca. We wspólnym grobie pochowano wówczas 67 osób.

Już pod wieczór, 14 lutego zdobywcy zaczęli płądować piwnice i schrony. Strzelali bez uprzedzenia do tych, którzy mogli stwarzać potencjalne zagrożenie. Samowolnie zajmowali kwatery i szukali żywności. Czerwonoarmiści byli również sprawcami kilkunastu pożarów. Wybuchły one najczęściej w opustoszałych willach na peryferiach miasta. Przez kilka dni nie było prądu elektrycznego i zapalony papier służył nierzadko do oświetlenia rabowanych wnętrz. Gwałty stały się codziennością. Niewątpliwie jedną z przyczyn powstałego wówczas chaosu były ogromne zapasy wódek i koniaków, zrabowane w południowych rejonach Europy. Dopiero około 20 lutego dowództwo wydało rozkaz zabraniający wstępu wojskowym do mieszkań prywatnych poza miejscem zamieszkania. Jednakże kontrolowanie przestrzegania tego zakazu było prawie niemożliwe.

Działania wojenne w Zielonej Górze zakończono formalnie 15 lutego. Tego dnia dowódca 3 Armii wydał rozkaz o zajęciu Zielonej Góry przez Armię Czerwoną. Koloportowano go przy pomocy obwieszczeń. Były one drukowane w dwóch językach, rosyjskim i niemieckim. Pod karą wojenną nakazywano wszystkim mężczyznom w wieku od 15 do 50 lat codzienne meldowanie się przed ratuszem. Celem zbiórki była praca na tyłach frontu.

Już 17 lutego na ulicy Podgórnej zgromadzono 926 Niemców. Grupa ta została odprowadzona w kierunku Miłska przez eskortę czerwonoarmistów. Przez kilka następnych tygodni Niemcy pracowali w folwarkach podwschowskich i leszczyńskich. W maju odtransportowano ich do Związku Radzieckiego.

Rygorom wojennym podporządkowano także pozostałych mieszkańców Zielonej Góry. Z byłych robotników przymusowych uformowano milicję. Z czerwonymi opaskami na rękawach i bronią, nierzadko w towarzystwie patroli Armii Czerwonej patrolowała ona kwatery miasta. Na centralnych placach, m.in. u zbiegu ulic Żeromskiego i Kupieckiej wywieszono czerwone flagi. Na dachu budynku tapicera Sandera-

Eppersa przy ulicy Kupieckiej zawieszono wielką podobiznę Generalissimusa Stalina. Na skrzyżowaniach ulic ustawiono „regulowszczyków”. Były to przeważnie kobiety, które kierowały ruchem kolumn ciągnących w stronę Gubina.

Pod koniec tygodnia rozpoczęto organizację lazaretów. Szpitale przyfrontowe utworzono m.in. w willi Suckera przy ulicy Sienkiewicza, w szpitalu Elżbietanek, kompleksie szpitalnym Bethesda przy ulicy Wazów oraz w domu Schirmesa. Wyszukano natychmiast pozostałych zielonogórskich lekarzy, zatrudniono 14 sióstr Elżbietanek.

Był Plac Cesarza Wilhelma, który w okresie nazistowski był miejscem defilad został zamieniony w cmentarz. W pobliskim kościele św. Józefa urządzono kaplicę pogrzebową. W następnych tygodniach cmentarz pokrył się dziesiątkami grobów żołnierzy, z których większość zmarła w zielonogórskich szpitalach. Ich liczba szybko wzrastała, zwłaszcza po gwałtownym wahanii się linii frontu w stronę Bobru.

Działania wojenne, które toczyły się wzdłuż Nysy Łużyckiej stawały się szczególnie zadaniem przed żołnierzami kwaterującymi w Zielonej Górze. Naczelnym zadaniem było dostarczenie żywności walczącym oraz utrzymanie lazaretów. W miejscu dawnego obozu robotników przymusowych, przy drodze do Ochli rozlokował się pułk, który wycofano z linii frontu.

Już trzeciego dnia po zdobyciu miasta, zorganizowano rzeźnię przy ulicy Długiej. Dowożono tam bydło i świnie. Na rzeź przeznaczano nawet okaleczone konie. Do magazynów miejskich żołnierze zwozili zboże i mąkę. Zielonogórskie piekarnie pracowały nieprzerwanie dzień i noc. W pobliskich folwarkach pośpiesznie młócono jesienne zapasy.

W połowie kwietnia pododdziały zaplecza przejęły majątki ziemskie w większości wsi podzielonogórskich, m.in. w Nowym i Starym Kisielinie, Janach, Zatoniu, Zaborze. Z terenów leżących na zachód od miasta pędzono ogromne ilości krów i koni. Na nieużytkach leżących w okolicy Osiedla Wazów, w szopach cegielni Lorenza oraz na rozległej łące koło Raculi urządzono punkty spędu bydła.

Zwożenie zboża i rekwizycje bydła zostały przerwane na kilka dni, w okresie wspomnianego wahanii się linii frontu.



Widok na miasto z wieży ratusza.

Kilkuset mieszkańców miasta zatrudniono przy budowie lotniska koło Zatonia oraz przy budowie prowizorycznych mostów na Odrze w okolicach Miłska i Nowej Soli.

Po sforsowaniu przez Armię Czerwoną Nysy Łużyckiej Zielona Góra przestała być miastem przyfrontowym. Zmieniły się także zadania wojskowych przebywających w mieście. Najważniejszym stało się wówczas przejście tej części mienia niemieckiego, którą uznano za zdobycz wojenną oraz zorganizowanie takiej władzy cywilnej, która po zakończeniu działań wojennych będzie zdolna do przejęcia władzy nad miastem i powiatem. Powracające grupy uciekinierów oraz brak jednoznacznej decyzji o przynależności państwowej zajętych terenów sprawił, że rozwiązano milicję. Można przypuszczać, że bez poparcia ludności rodzimej nie spełniała ona swej roli, milicjanci pragnęli wracać do swych miejsc zamieszkania.

W kilka dni po zajęciu miasta dowódca wydał kolejne rozkazy. Nakazywały one uruchomienie zakładów i sklepów. Wówczas także rozpoczęto formowanie grup roboczych. Każdego poranka, o godzinie 6 odbywały się zbiórki kobiet i mężczyzn zdolnych do pracy. Meldowali się oni przed ratuszem. Tam byli liczeni i przydzielani do poszczególnych zadań.

W pierwszym etapie rządów wojskowych kobiety pakowały bieliznę, tekstylia, towary żelazne, czyli wszystko to, co znaleziono w sklepach lub zabrano z opuszczonych domów. Zielonogórzanki pracowały również w lazaretach i sprzątały miasto. Mężczyźni byli zatrudniani do cięższych prac transportowych. Już w pierwszym tygodniu pobytu Rosjan zaczęto wywozić maszyny z zielonogórskich fabryk tekstylnych. Na wagonach znalazły się również ciężkie młoty i maszyny do obróbki drewna z Zakładów Budowy Mostów i Wagonów „Beuchelt et Co.” Nie chroniono od wywózki ludności cywilnej. Około połowy marca z Zielonej Góry wyprowadzono drugą, tym razem mniej liczną kolumnę robotników w kierunku Miłska.

Zadania aprowizacji, utrzymania lazaretów oraz nadzoru nad siłą roboczą realizowała Komendantura Wojenna. Zorganizowano ją w kilka dni po przejściu miasta. Miała ona siedzibę w willi przy obecnym Placu Matejki, dawnej drodze do Kisielina. Pierwszym komendantem był pochodzący z Kijowa, mjr Demian S. Wiechochotow. Zginął on 27 marca 1945 r. pod Otyniem z rąk grasujących tam Niemców. Na początku kwietnia Komendantem Wojskowym został podpułkownik Kriatow. Jego zastępcą był mjr Mironow. Pomocnikiem komendanta mianowano starszego lejtnanta Żarowszczykowa.

Czerwonoarmiści zajęli około 80 budynków. Część z nich rozlokowała się w blokach mieszkalnych wzniesionych w połowie lat trzydziestych przy ulicy Fabrycznej. Nieopodal urządzono punkt zborny Niemców. Odstawiano ich do obozu niemieckich jeńców wojennych w Świątoszowie. Wojskowi wykorzystywali linię kolejową Zielona Góra - Szprotawa. Druga grupa czerwonoarmistów przeznaczona do ochrony sztabu oraz większość oficerów zajęła mieszkania przy ulicy Niepodległości i Kupieckiej. W willach przy ulicy Moniuszki kwaterowała grupa żołnierzy należących do NKGB. Przy Ułańskiej, Batorego i Dworcowej zakwaterowano plutony zajmujące się transportem kolejowym. Zorganizowano tam także Wojskowe Biuro Spedycyjne.

Faktyczną władzę nad ludnością cywilną sprawował oddział NKGB. Dowodził nim podpułkownik Szedow. Najpierw pod eskortą odesłał do ZSRR byłych robotników przymusowych pochodzących z Rosji i Ukrainy, następnie od pierwszych dni marca oficerowie wywiadu rozpoczęli masowe przesłuchania zatrzymywanych Niemców. Poszukiwano byłych SS-manów, członków NSDAP i organizacji pokrewnych.

Utworzono 6 punktów filtracyjnych: w Zakładach Buchholza, czyli obecnego „Polomосу”, zakładach Schoelzke Bierverlag przy ulicy Sikorskiego, willi Grueneberg należącej do Wytwórni Szampana „Grempler” przy ulicy Moniuszki, w reżni Schenkla przy ulicy Kupieckiej, byłej komendanturze Wehrmachtu przy ulicy Niepodległości oraz w schronisku młodzieżowym niedaleko ulicy Wiśniowej.

Większość przesłuchiwało na miejscu. Po stwierdzeniu zgodności zeznań z dokumentami będącymi w posiadaniu NKGB zwalniano ich do miejsca zamieszkania. Należy podkreślić, że już 27 lutego oficerowie NKGB znali większość danych osobowych zielonogórskich oficerów gestapo i policji, funkcjonariuszy partyjnych i aktywnych członków NSDAP.

W ostatnich dniach kwietnia do Zielonej Góry zaczęły powracać grupy stałych mieszkańców. Na początku maja w mieście było około 9000 Niemców. Ich liczba ciągle się zwiększała. Okazało się bowiem, że za linią Nysy trudności aprowizacyjne są większe niż przypuszczano.

Po przejściu frontu, wśród zielonogórzan szerzyło się przekonanie, że miasto pozostanie w granicach Niemiec. Niektórzy nie tracili nawet nadziei na zwycięstwo. Podsycali ją ciągnące się aż do 1 kwietnia walki o Głogów. Większość dążyła jednak do ułożenia poprawnych stosunków z Rosjanami. Najpełniej dążenia te wyrażała grupa skupiona wokół Karla Laube. Był on do 1933 r. radnym z ramienia partii komunistycznej i więźniem w obozu koncentracyjnym w Dachau. W dniu wejścia Rosjan grupa ta nawiązała kontakty z ich dowództwem. Niebawem Laube otrzymał zadanie skompletowania składu nowego Zarządu Miejskiego. Sam został mianowany burmistrzem.

Zastępcą burmistrza został architekt Georg Jatzlau. Apropozycję ludności powierzono bytemu socjaldemokracie, mistrzowi tkackiemu Alfredowi Apeltowi. Nadzorem nad zakładami przemysłowymi i rzemiosłem zajął się Albert Brandt. Za budownictwo, a więc utrzymanie obiektów miejskich był odpowiedzialny Beck. Opieką zdrowotną i pomocą społeczną kierował lekarz dr Zadeck. Max Ludwig, członek zielonogórskiej loży wolnomularskiej został zatrudniony w ostatniej fazie tworzenia Zarządu. Był on odpowiedzialny za sprawy finansowe. Po kilku dniach funkcjonowania nowych władz zaistniała konieczność zatrudnienia 2 urzędników kryminalnych. Władze kontaktowały się z mieszkańcami za pomocą rozlicznych obwieszczeń. Drukowano i rozdawano bezpłatnie „Gruenberger Wochenblatt”.

Burmistrz podlegał bezpośrednio Komendantowi Wojskowemu. Niemalże każdego przedpołudnia składał mu meldunek o sytuacji w mieście. Po południu, regularnie o godzinie 17 zbierał się Zarząd. Omawiano wówczas zadania bieżące i przekazywano rozkazy. Wyżywienie około 9000 mieszkań-

ców rodziło wiele problemów. Podstawowym był brak żywności, kolejnym jej podział. Dlatego też dla hodowców kur wprowadzono obowiązkowe dostawy jaj. Z opuszczonych piwnic zabierano zapasy. Były to niewielkie ilości maki i kasz, częściej owoce i kompoty. Komendant przekazał Zarządowi 2 samochody ciężarowe. Zwożono nimi żywność. Najczęściej kupowano ją w okolicznych wioskach, ale również rekwirowano ukryte zapasy zboża i kartofli.

Już w kwietniu była otwarta część zakładów rzemieślniczych, sklepów i punktów usługowych. Władze wojskowe przekazały do dyspozycji Zarządu piekarnię Maxa Petzmana przy Placu Pocztowym. Niebawem nadzorca wodociągów Paul Hoffman prowizorycznie uruchomił studnie i pompy przy ulicy Wodnej. Pod nadzorem elektryka Nagela pracowała z przerwami - z powodu braku węgla - elektrownia miejska. Przy ulicy Zielonej i Tylnej uruchomiono 2 pralnie publiczne. Już w pierwszym tygodniu po przejściu frontu, przy ulicy Niepodległości założono wielką stolarnię. Na zlecenie władz miejskich wyrabiała ona trumny.



Widok na miasto ze Wzgórz Winnych.

Miasto podzielono na 43 obwody. W każdym z nich mianowano starszego - obmana. Był on odpowiedzialny przed burmistrzem za porządek i dyscyplinę w swoim rewirze. Jednocześnie decydował o podziale racji żywnościowych, zwłaszcza porcji chleba wydawanego na kartki. Obman ponosił także odpowiedzialność za dostarczenie odpowiedniej ilości robotników. Tak jak w marcu, również w dwóch następnych miesiącach zatrudniano zielonogórzan przy pracach demon-tażowych i spedycyjnych.

W kwietniu rozpoczęto zagospodarowywanie licznych ogrodnictw, m.in. przy ulicy Chrobrego, Krakusa i drodze wiodącej do Ochli. Komendant zezwolił cywilom na posadzenie kartofli i zasianie warzyw w ogródkach przydomowych. Przydzielał także poszczególne sklepy, piekarnie oraz ułatwiał nabycie surowców zarekwirowanych wcześniej przez Armię Czerwoną. Z dnia na dzień normalizowało się życie miejskie. Z powodu pogłębiania się trudności aprowizacyjnych coraz częściej dochodziło do wymiany towarowej między żołnierzami i ludnością cywilną. W kościele św. Jadwigi nabożeństwa celebrował ks. proboszcz Georg Gottwald. Nic nie wskazywało na zmianę sytuacji. Nawet Komendant obiecywał przedstawicielom ludności niemieckiej długotrwałe utrzyma-

nie władzy wojskowej. Na początku maja przybyła nowa grupa żołnierzy Armii Czerwonej. Zakwaterowano ją w budynku szpitalnym przy ulicy Wazów.

20 lutego 1945 r. Stalin podpisał Zarządzenie o traktowaniu przez sowieckie władze wojskowe linii Odry-Nysy jako tymczasowej, zachodniej granicy państwa polskiego. Również w lutym, tuż za przesuwającym się 1 Frontem Ukraińskim rozpoczęto formowanie grupy, która miała organizować władzę cywilną na obszarach Śląska przejętych przez Armię Czerwoną. Grupa ta miała swą pierwszą siedzibę w Kielcach. Formowano ją pod nadzorem wicewojewody kieleckiego Stanisława Piaskowskiego. Do grupy inicjującej zwerbowano naprędce specjalistów z różnych dziedzin, najczęściej przedwojennych inżynierów, członków proradzieckiej partyzantki oraz byłych funkcjonariuszy radzieckich służb bezpieczeństwa.

Przedłużające się walki o Wrocław sprawiały, że grupa ta nie mogąc dotrzeć do stolicy Dolnego Śląska znalazła swoją siedzibę w Trzebnicy. Później została przeniesiona do Legnicy. Tutaj przebywał również pełnomocnik Rządu na Dolny Śląsk, wspomniany Stanisław Piaskowski oraz pełnomocnik Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów inż. Jan Iwański. On też kompletował tzw. grupy operacyjne. Ich podstawowym zadaniem było przejmowanie mienia niemieckiego od władz Armii Czerwonej.

Już w marcu 1945 r. dokonano wstępnego podziału administracyjnego Dolnego Śląska. Powiat zielonogórski w granicach z 1938 r. otrzymał nazwę Obwód nr 20. W ostatnich dniach działań wojennych inż. Kazimierz Paszyński wraz z dziewięciosobową grupą wyruszył z Legnicy do Zielonej Góry. Celem ich podróży było najprawdopodobniej rozpoznanie sytuacji. Natychmiast po przyjeździe do miasta, 8 maja 1945 r., szef grupy nawiązał kontakt z Komendantem Wojskowym. Komendantura przydzieliła Kazimierzowi Paszyńskiemu budynek hotelowy w śródmieściu zwany Kaiserhof. Mieścił się on przy ulicy Żeromskiego. Następnego dnia grupa Polaków powiększyła się o dalsze 9 osób.

Skład grupy operacyjnej nie był stały. Paszyński nie posiadał dostatecznych pełnomocnictw aby wykonywać obowiązki przedstawiciela polskiej władzy. Uzyskał je w Legnicy dopiero 21 maja, ale ograniczały się one do zadań przysługujących pełnomocnikom KERM (Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów). Jego zastępcą został inż. A. Łuszczynski. Za aprowizację grupy odpowiadał Topolnicki, intendentem był Malik, kasjerem Trofimiuk, łącznikiem Henryk Laskowski. Do pracy w grupie operacyjnej zgłaszali się powracający z obozów i robót przymusowych (np. Mieczysław Turski) oraz przyjeżdżający z pobliskiej Wielkopolski (np. Alfons Bogaczyk).

Najprawdopodobniej już w połowie kwietnia pojawili się w Zielonej Górze pierwsi przybysze z sąsiedniej Wielkopolski. Brak polskiej władzy, obecność dużej liczby Niemców i konieczność meldowania się u sowieckiego Komendanta Wojennego odstraszały przyjezdnych. Dopiero w drugiej połowie maja udawało się nielicznym uzyskać zezwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej.

Drugą grupą, która w sposób zorganizowany przybyła do miasta, byli kolejarze. Już 26 lutego 1945 r. w Wolsztynie

rozpoczęto organizację grup mających za zadanie przejmowanie węzłów kolejowych leżących na zachód od Wielkopolski. 12 maja do Zielonej Góry przyjechał pierwszy pociąg „wolsztynian”. Składał się on z wagonu osobowego i 3 towarowych. W wagonie osobowym przyjechał m.in. Wacław Andrzejewski z nominacją na Naczelnika Oddziału Ruchowo-Handlowego oraz inż. Władysław Sierpawski mianowany Naczelnikiem Oddziału Elektrotechnicznego. W wagonach towarowych zainstalowano pogotowie techniczne, kuchnię i sypialnię. Ostatni zajmowała uzbrojona straż kolejowa. Przyjeźdźni, z orkiestrą udali się do Komendanta Wojennego. Zezwolił on im na przejmowanie urządzeń kolejowych. Przeprowadzono również rozmowy z Kazimierzem Paszyńskim. Pierwsze biuro kolejarzy urządzili w byłym Urzędzie Pracy. Rodziny przyjeźdźnych zakwaterowano czasowo w hotelu Kaiserhof.

15 maja przybyła grupa fachowców przysłanych z Łodzi. Mieli oni za zadanie uruchamianie produkcji, zwłaszcza w zakładach tekstylnych. Gdy okazało się, że zakłady produkcyjne pozostają nadal w rękach władz wojskowych część z nich wyjechała z miasta.

Brak pełnomocnictw, ściśle określonych zadań oraz trudności z przekazywaniem mienia opóźniały prace grupy operacyjnej. Pełnomocnik zajmował się prowiantowaniem Polaków przybywających do Zielonej Góry i uczestniczył w kilku uroczystościach, m.in. 9 maja z okazji zakończenia wojny. Podobnie jak burmistrz Laube musiał meldować się u Komendanta Wojennego. Było to przyczyną ciągłych nieporozumień. Sytuacja niewiele się zmieniła po 23 maja, kiedy to przyjechał do Zielonej Góry nieznany z nazwiska pułkownik Wojska Polskiego. Zażądał on natychmiastowego przekazania zarządu miasta i powiatu w ręce polskie. Już następnego dnia Komendant Wojenny przekazał Polakom zakład blacharski, rzeźniczy, fryzjerski i browar. 25 czerwca przekazano grupie operacyjnej 2 folwarki: w Starym Kisielinie i w Drożkowie, mleczarnię i piekarnię. W folwarkach osadzono zarządców. Szukano rzemieślników do pracy w przekazanych zakładach. Znajdowały się one pod opieką straży przemysłowej. Ale gdy 28 maja Niemcy wnieśli protest, komendant polecił przekazać je powtórnie w ręce Niemców.

Nie wszyscy przyjeżdżający w tym czasie do Zielonej Góry zamierzali się w niej osiedlić. 30 maja przybyła 22 osobowa grupa z Poznania. Kontrolowana przy odjeździe na dworcu miała „przy sobie różne bagaże pochodzące z szabrownictwa”. 4 czerwca 1945 r. przyjechała kolejna zorganizowana grupa z Wolsztyna, z zamiarem utworzenia milicji. Dowodził nią oficer Wojska Polskiego. Można przypuszczać, że nie posiadał on właściwych pełnomocnictw i być może dlatego nie został zaakceptowany przez Komendanta Wojennego. Odmówił mu wsparcia także inż. Paszyński, który zdawał sobie sprawę z braku dyspozycyjności ze strony jednolitej grupy, uformowanej już wcześniej, najprawdopodobniej przez Polski Związek Zachodni. Grupa „wolsztynian” musiała opuścić miasto.

Dopiero 6 czerwca nastąpiło uroczyste przejście władzy w mieście przez pierwszego polskiego burmistrza Tomasza Sobkowiaka.

LITERATURA

W artykule wykorzystano m. in.:

- E.Clauss, Buch der Stadt Gruenberg, Frankfurt a/M. 1957.

- J. Benyskiewicz, H.Szczegóła, Zielona Góra. Zarys dziejów, Poznań 1991.

- Znani zielonogórzanie XIX i XX wieku. Pod red. H. Szczegóły, Zielona Góra 1996.

- Brief von Herrn Pfarrer Gottwald... an der Herr Medizinalrat dr Groetschel... 3 sierpnia 1946 r.,

- artykuły z Gruenberger Wochenblatt i Studiów Zielonogórskich,

- dokumenty z Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Zielonej Górze.



Pierwsi urodzeni po wojnie zielonogórzanie

Pionier: Tadeusz Piłat ur. 18 lipca 1945 r.
Autochton: Leon Loks ur. 13 marca 1945 r.

Pierwszy ślub:

Leon Michalski z Ireną Zajac, 3 sierpnia 1945 r.

Pierwsze rejestracje zgonów

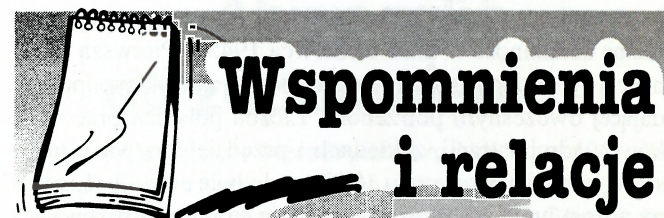
Pionier - Florian Piechocki - kupiec zm. 4 lipca 1951 r.
Autochton: Jan Karol Schulz - górnik zm. 7 lipca 1945 r.

Pionierzy zmarli w 1995 r.

Józef Podgórski, 2 stycznia 1995 r.
Jerzy Pilch 12 stycznia 1995 r.
Antoni Kosmański 10 marca 1995 r.
Anna Rajewska 15 kwietnia 1995 r.
Józef Czapla 16 czerwca 1995 r.
Halina Bogaczyk 15 października 1995

Pionierzy zmarli w 1996 r.

Marian Sarbicki 3 stycznia 1996 r.
Maria Potaczek 18 stycznia 1996 r.
Marian Zbieralski 13 lutego 1996 r.
Maria Jodłowska 5 maja 1996 r.
Anna Gałuszewska 21 maja 1996 r.
Maria Poniedziałek 31 maja 1996 r.
Genowefa Mazur 29 czerwca 1996 r.
Marta Szymaniak 11 października 1996 r.
Mieczysław Marciński, 26 października 1996 r.
Marianna Kozłowska 3 lipca 1996 r.



„Pierwsze dni”

Moje pierwsze spotkanie z Zieloną Górą miało miejsce wczesną jesienią 1946 roku, kiedy to przeszedłem po pracy w administracji i w OMTUR-ze całkowicie do pracy dziennikarskiej w redakcji poznańskiego „Głosu Wielkopolskiego”, pierwszego pisma, które wraz z wyzwaniem Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego, docierało do pierwszych mieszkańców tych ziem. Początkowo również mieszkańcy Wrocławia w dużej mierze czytali „Głos Wielkopolski”. Przyjechałem do Zielonej Góry w podwójnym charakterze, jako członek kolegium redakcji i jako sekretarz rady zakładowej przy poznańskiej delegaturze Spółdzielni Wydawniczo Oświatowej „Czytelnik”, z którą to Spółdzielnią byłem związany od chwili jej założenia jako pełnomocnik na powiaty: warszawski, krotoszyński, kołobrzski, a następnie gorzowski. Dojechałem do Zielonej Góry po kilku przesiadkach kolejną, późnym wieczorem. Miasto było stosunkowo słabo oświetlone. Skorzystałem z dorożki konnej, która zawiozła mnie do hotelu Zachodniego, znajdującego się przy dawnej ulicy 3 Maja 97. Właścicielem hotelu był p. Majcherek. W hotelu nie było światła, były natomiast do dyspozycji świece. Następnego dnia rano, po zjedzeniu śniadania w restauracji mojego znajomego z Poznania Franciszka Hajdrowskiego, również przy ulicy 3 Maja 2 (obecnie ul. Jedności), udałem się do Zarządu Miejskiego w Ratuszu, gdzie zostałem przyjęty przez sekretarza Zarządu Miasta Józefa Piszczka, człowieka zaangażowanego, życzliwego i uczynnego. Z jego pomocą nawiązałem wiele kontaktów, które pozwoliły mi załatwić wiele spraw w bardzo szybkim terminie. A cele i zadania, zlecane mi przez naczelnego redaktora Jana Zagierskiego, były rozległe i różnorodne - m.in. wręczył mi dużą porcję listów od czytelników skierowanych nie tylko do redakcji, ale także do KW PPR w Poznaniu. Miałem się także zorientować czy są możliwości znalezienia korespondentów dla naszego pisma, założenia księgarni SWO „Czytelnik”, placówki kolportażowej, ewentualnego oddziału redakcji, powołania pełnomocnika „Czytelnika” na miasto i powiat zielonogórski, a także ustosunkować się do wielu spraw poruszonych w listach przez mieszkańców Zielonej Góry. Z późniejszym sekretarzem Miasta Józefem Zboralskim przez wiele lat miałem bardzo poprawne układy, co w pracy dziennikarskiej było bardzo ważne. Przez kilka dni pobytu w Zielonej Górze, nawiązałem wiele kontaktów, a już w drugim dniu udało mi się zdobyć lokal dla naszej Spółdzielni, przy Placu Lenina nr 7, gdzie znajdował się również miejscowy radiowęzeł i rozpoczynał działalność pełnomocnik Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk. Otrzymaliśmy lokal parterowy rozpoczynając działalność kolportażowo-księgarską. Na stanowisko kierownika tej placówki został powołany Józef

Ropelski, polecony przez Komitet Powiatowy PPR. Nie był on długo na tym stanowisku, gdyż zaproponowano mu przez dyrektora Stanisława Mytko, pracę w kolportażu „Czytelnika” we Wrocławiu. Właściwą działalność księgarską „Czytelnika” rozwinął dopiero Alfons Bogaczyk, pierwszy organizator zielonogórskiej drukarni, którego żona p. Halina prowadziła księgarnię połączoną ze sprzedażą gazet i artykułów biurowych przy ul. Żeromskiego 12. Rodzinę Bogaczyków znałem jeszcze z okresu przedwojennego, kiedy zamieszkiwali w Lesznie Wlkp. Do państwa Bogaczyków miałem zresztą list polecający od swojego przyjaciela redakcyjnego Tomasza Henryka Nowaka. Muszę przyznać, że dom państwa Bogaczyków przez pierwsze lata był miejscem spotkań miejscowej inteligencji, a przede wszystkim ludzi o zamiłowaniu artystycznych. Pani Halina była wytworną i elegancką gospodynią, zachęcającą wszystkich do zamieszkania w Zielonej Górze i do pracy dla miasta. W mieszkaniu państwa Bogaczyków bywałem bardzo często, gdyż w pewnej mierze tam właśnie była siedziba sztabu propagandowego Dni Zielonej Góry i Winobrania w pierwszych latach po wyzwoleniu. Zamieszkiwali tam również dziennikarze i artyści odwiedzający Zieloną Górę, m.in. (o czym piszę osobno) Ludwik Solski. Olbrzymie były zasługi państwa Bogaczyków dla naszego miasta, głównie w zakresie utrzymywania poznańsko-lubuskich kontaktów naukowych i kulturalnych.

Jako działacz Polskiego Związku Zachodniego, naturalnie odwiedziłem Społeczny Dom Kultury, którym kierował dawny nauczyciel Szkoły Rolniczej inż. Aleksander Dawid, wszechstronny organizator, miłośnik teatru amatorskiego, a także zdolny publicysta. Przez wiele lat był sumiennym korespondentem „Głosu Wielkopolskiego”. Przedstawicielem interesów „czytelnikowskich” został podinspektor szkolny do spraw oświaty dorosłych Franciszek Borowczak. Złożyłem również wizytę w miejscowym Urzędzie Pocztowym, gdzie nie tylko poznałem, ale i zaprzyjaźniłem się z jednym z współorganizatorów zielonogórskiego Urzędu Poczтового Feliksem Musielakiem, który w pierwszych latach należał do osób bardzo aktywnych, pracując m. in. w Związku Zawodowym Pracowników Pocht i Telegrafów. Związek ten był współorganizatorem pierwszych imprez koncertowych w Zielonej Górze. Szefa Urzędu Bezpieczeństwa mgr Feliksa Szkatułę poznałem za pośrednictwem Mieczysława Turskiego, którego przedstawił mi burmistrz Mikołaj Mesza sprawujący również odpowiedzialną funkcję w Powiatowym Komitecie Polskiej Partii Socjalistycznej. Złożyłem wizyty staroście Janowi Klementowskiemu, który w późniejszym okresie był radcą Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie i wicestaroście Romanowi Mazurkiewiczowi. Za pośrednictwem Mieczysława Turskiego, który działał w zielonogórskim kabarecie i amatorskim ruchu artystycznym poznałem wiele osób, które były pionierami rozwoju zielonogórskiej kultury. M. in. skrzypka Pawła Stróżyka, który kierował orkiestrą kawiarnianą w restauracji „Centralna”, która mieściła się przy dawnej al. Generalissimusa Stalina 38 (al. Niepodległości), później poznałem drugiego skrzypka Józefa Kapałę, który ze swoim zespołem koncertował w bardzo dobrze prowadzonej przez zespół „Społem” kawiarni, restauracji i hotelu „Pod Białym Orłem” przy ul. Gen. Sikorskiego 77. Muzyk ten prze-

niósł się później do Polanicy, gdzie prowadził orkiestrę zdrojową.

Przez długie lata bardzo dobrze współpracowało mi się z wiceburmistrzem i działaczem Stronnictwa Demokratycznego Czesławem Wielgoszem. Tu w Zielonej Górze znalazłem także swojego przedwojennego przyjaciela z terenu Poznania, a następnie sąsiada w okresie okupacji w Warszawie majora Franciszka Kowala, dawnego powstańca wielkopolskiego. Franciszek Kowal, też już nieżyjący, początkowo pracował w Wytwórni Tektury w Krępie, następnie był kadrowcem w Państwowej Centrali Handlowej, a w latach późniejszych prowadził sklepik „Ruchu”, sprzedając gazety i czasopisma przy ul. Świerczewskiego. Bardzo popularną sylwetką w naszym mieście był znany lutnik Mieczysław Solski, który przyjechał do Zielonej Góry z Rumunii. Założył on wraz z Zygmuntem Nimińskim spółdzielczą placówkę „TON”, popularną w całym kraju. Jeszcze przed przyjazdem i przed pierwszymi kontaktami z Zieloną Górą poznałem nauczycielkę Janinę Ertnerową i Piotra Kłucińskiego - działaczy OMTUR-u, którzy w Zielonej Górze nie tylko napisali sztukę na temat spraw okupacyjnych, ale byli inicjatorami wielu akcji kulturalnych, m. in. wyjazdu zielonogórzan do Warszawy do prac związanych z odgruzowywaniem stolicy.

Przy następnych swoich bytnościach poznałem bardzo ruchliwego i chyba pierwszego adwokata w Zielonej Górze, Ludwika Grzybowskiego, później dyrektora Zielonogórskiej Ubezpieczalni Społecznej Józefa Markiewicza, mgr. Henryka Greba, którego zjednałem do współpracy z „Głosem Wielkopolskim” oraz artystów plastyków mgr. Müldnera-Nieckowskiego, Stefana Słockiego i Juliusza Majerskiego, którego poznałem już przed wojną w Poznaniu. Kiedy całkowicie przeniosłem się na teren Ziemi Lubuskiej, jako kierownik lubuskiej redakcji „Głosu Wielkopolskiego”, bywałem w Zielonej Górze bardzo często, prowadząc współpracę z naszymi zielonogórskimi korespondentami i współpracownikami. W latach 1946-1950 na dłuższe lub krótsze okresy delegowany był Henryk Tycner, późniejszy pracownik berlińskiej placówki „Interpressu” i Tadeusz Pasikowski, emerytowany dziennikarz „Gazety Poznańskiej”, który przy okazji napisał i wydał pierwszy po wojnie przewodnik po Zielonej Górze. W przededniu organizowania Prezydium WRN w Zielonej Górze pomagali nam również Jerzy Ofierski, Janusz Likowski i inni koledzy. Ze „Słowa Polskiego” na etat do „Głosu Wielkopolskiego” przeszedł Bolesław Sobków, zaangażował się młodziutki działacz młodzieżowy Witold Miedziałko oraz długoletnia sekretarka i kasjerka „Gazety Lubuskiej” w jednej osobie Danuta Tomaszewska. Oddział „Głosu” w Zielonej Górze mieścił się początkowo przy ul. Jedności Robotniczej 90, następnie przy Starym Rynku 13.

Życie towarzyskie toczyło się w wielu zupełnie przyzwoitych kawiarniach i restauracjach. Obok już wymienionych, powodzeniem cieszyła się cukiernia „Polonia” naprzeciwko Ratusza, restauracja i kawiarnia przy hotelu Parkowym, prowadzona przez Izabelę Dobiaszową, który to obiekt w okresie tworzenia województwa został przejęty przez WRZZ, a następnie „Społem”. W samym Ratuszu mieścił się sekretariat Zrzeszenia Kupców i Resursa Kupiecka. Osobny lokal prowadzili rzemieślnicy.

Zarząd Miejski w Zielonej Górze rozpoczął swoją normalną działalność w dniu 6 czerwca 1945 r. Pierwszą czynnością było zorganizowanie administracji miejskiej odpowiadającej ówczesnym potrzebom. Liczba polskich pracowników w administracji, zakładach i przedsiębiorstwach miejskich wynosiła w czerwcu 1945 r. zaledwie 10 osób. Liczebny wzrost ludności, a co za tym idzie stopniowa rozbudowa administracji, wymagała angażowania dalszych pracowników tak, że w dniu 1 września 1945 r. było ich 35. Biura Zarządu Miejskiego podzielono na 8 działów, a mianowicie: ogólny, finansowo-gospodarczy, techniczny, opieki społecznej, administracyjny, urząd stanu cywilnego i aprowizacyjny. Tymczasem burmistrzem miasta z nominacji w 1945 r. został Tomasz Sobkowiak, były członek Zarządu Miejskiego w Lesznie, a jego zastępcą - wiceburmistrzem - Czesław Wielgosz, wcześniej sekretarz miejski w Lesznie. Sekretarzem miejskim od dnia 6.06.1945 r. do końca marca 1947 r. był Józef Piszczek. Z dniem 1.04.1947 r. na stanowisko to powołany został Józef Zboralski. Od dnia 1.02.1947 r. obowiązki burmistrza pełnił Mikołaj Mesza, I sekretarz PSS. Przez krótki okres swej pracy okazał się on dobrym gospodarzem miasta. Wiceburmistrz Czesław Wielgosz, który był człowiekiem bardzo rzutkim i doświadczonym działaczem samorządowym również cieszył się popularnością i zaufaniem. W administracji Zarządu Miejskiego pozostawały następujące przedsiębiorstwa i zakłady: Gazownia, Wodociągi, Zakład Kanalizacyjny, Ogrody i Winnice, Rzeźnia oraz Tabor Miejski i Zakład Oczyszczania Miasta.

Zabezpieczono wszystkie budynki i obiekty, przystąpiono do koniecznych napraw i w miarę możliwości finansowych do drobnych uzupełnień w urządzeniach przedsiębiorstw miejskich. Największą bolączką była dla Zarządu tutejsza Gazownia, która zaniedbana już za czasów niemieckich, pozostawiała wiele do życzenia. Ogólny remont Gazowni i budowa 3 pieców kosztowały przeszło 2.000.000 zł. Zniszczonych budynków było na terenie miasta 50. W budynkach nadających się do naprawy Zarząd Nieruchomości remontował najpierw mieszkanie dla jednego lokatora, ten następnie strzegł całego obiektu przed dalszym zdewastowaniem.

Opieka społeczna w Zielonej Górze miała specjalny charakter. W związku z licznymi prośbami osiedlanych tu repatriantów o pomoc finansową, w wypadkach szczególnie trudnych Zarząd Miejski udzielał tym ludziom wsparcia lub ponosił koszty zakupu lekarstw. Petentów takich było kilkunastu dziennie, ludzi przybyłych nie tylko ze wschodu, ale także z zachodu. Miesięcznie wydatki na ten cel wynosiły od 20 do 30.000 złotych.

Zieloną Górę w dniu 24 czerwca zamieszkiwało 566 osób, 15 lipca 1945 r. 1.162 osoby, 1 sierpnia 1945 r. 2.670 osób, 1 września 1945 r. 5.669 osób. Stan ten wzrastał z miesiąca na miesiąc tak, że w dniu 31 sierpnia 1947 r. Zielona Góra liczyła 27.039 mieszkańców, w tym - mężczyzn 12.078, - kobiet 14.491, razem Polaków - 26.981. W tamtym czasie w Zielonej Górze zamieszkiwało 73 Niemców i 15 osób innych narodowości.

(cdn)

Władysław J. Ciesielski

Aby ocalić od zapomnienia...

Był piękny, ciepły wieczór pierwszych dni lipca 1945 roku, gdy po raz pierwszy wysiadłam z pociągu wiozącego mnie bardzo długą i przerywaną trasą do Zielonej Góry. Byłam umęczona podróżą i wzruszona niedawnymi przeżyciami, związanymi z opuszczeniem na zawsze stron rodzinnych na wschodzie. Tam się urodziłam, tam zamieszkiwałam od wielu pokoleń moi rodzice i dziadowie, tam byłam dzieckiem, tam się kształciłam, przeżywałam młodość, małżeństwo i macierzyństwo. Było to wstrząsające i mimo zakończenia koszmaru wojny i okupacji oraz sytuacji politycznej trudne do przeżycia osobistego. Długa podróż w nieznane budziła ogromny niepokój o los i przyszłość mojej rodziny.

Gdy wyszłam z dworca, pochłonęła mnie i oczarowała cudowna zieleń drzew i krzewów, niosąca spokój i nadzieję. Znalazłam się w ów lipcowy, oświetlony księżycem późny wieczór jakby w oazie spokoju i bezpieczeństwa i, nie wiadomo dlaczego, poczułam pragnienie pozostania w tym zakątku świata na zawsze. Może to głos przeznaczenia sprawił, że właśnie to nieznane i obce miasto przyciągnęło i związało uczuciowo mnie i całą moją rodzinę na bardzo długie lata.

Długo szłam poprzez piękną, kwitnącą aleję, wychodzącą na rynek miasta z ładnym budynkiem ratusza. Wokół rozpościerała się urzekająca, bogata zieleń. Zniszczeń działań wojennych prawie się nie dostrzegało.

Tak ulica za ulicą, wśród tych bogactw przyrody, dotarłam bezpiecznie do ulicy Morwowej, położonej w owym czasie na peryferiach miasta. W domu pod numerem 4 już zamieszkiwał mój mąż, przybyły o kilkanaście dni wcześniej. Wybrał się bowiem w poszukiwaniu nowego miejsca na ziemi polskiej w towarzystwie swych przyjaciół, którzy postanowili osiedlić się na Ziemiach Odzyskanych i Zielona Góra urzekła ich swym urokiem. Nie na darmo nosiła swą nazwę. Mój mąż oczekiwał mojego przybycia. Wspólnie podjęliśmy decyzję zamieszkania w tym mieście, w domu przy ulicy Morwowej 4, przemianowanej w późniejszych latach na ulicę Wiśniową, w którym to domu mieszkam od 41 lat.

Ulica ta była nie brukowaną drogą polną jak na wsi, wysadzoną dużymi, pięknymi drzewami morwy, wpadającą niespodziewanie w ulicę Wiśniową, również nie brukowaną, wysadzoną wiśniami i otoczoną ogródkami działkowymi. Ulica Wiśniowa, przy której stało niewiele małych domków i parę większych willi prowadziła wprost do lasu.

Lepsze i wygodniejsze miejsce w małym ówczesnym mieście było trudne do znalezienia. Mieszkanie było obszerne, z prowizorycznymi wygodami - łazienka, centralne ogrzewanie, wydawało nam się luksusem. Niestety zawiodło, gdy przyszły jesienne chłody i bardzo mroźna zima. Musieliśmy je zastąpić małymi żelaznymi piecykami, które nie dawały dostatecznego ciepła, marzliśmy więc przez pierwsze jesienie i zimy. Po paru latach doprowadziliśmy urządzenia centralnego ogrzewania do właściwego stanu i ogrzaliśmy cały budynek.

Najważniejszą sprawą od samego początku była nasza praca, jak również szkoła dla dzieci. Syn uczęszczał do liceum,

a córka do gimnazjum (w tym czasie szkoła średnia składała się z 4 klas gimnazjum zakończonych tzw. małą maturą i 2 klas liceum z dużą maturą uprawniającą do kontynuowania studiów na uniwersytecie).

Pierwsze moje spotkanie z osobami organizującymi szkolnictwo w naszym mieście odbyło się w lipcu na placu Słowiańskim, w dzisiejszym gmachu Sądu Wojewódzkiego. Zostałam przyjęta przez inspektora szkolnego ob. Tworzydło, który był upoważniony przez kuratorium w Poznaniu do zorganizowania szkolnictwa podstawowego. Natomiast do utworzenia szkoły średniej została upoważniona przez kuratorium w Poznaniu pani Helena Urbańska, były porucznik I Armii WP.

Rok szkolny rozpoczął się dokładnie pierwszego września. Pierwszym dyrektorem był pan Błaszczyk, który zebrał wielu nauczycieli o wysokich kwalifikacjach, koniecznych do nauczania w gimnazjum i liceum. Dużą pomocą dla dyrektora była pani Wanda Żurek, nie tylko jako nauczycielka historii, ale także jako sekretarka szkoły. Popularnie zwana „Ciotką”, była bardzo lubiana przez młodzież, będącą w różnym wieku, po przeżyciach wojennych i okupacyjnych, o różnych poziomach wiedzy, zwłaszcza w klasach licealnych. Polonistkami były pani Helena Sołowiej i pani Teodozja Koziół-Poklewska. Matematyki uczył pan Filarski popularnie zwany „Dziadkiem”, chemii i fizyki pani Urbańska. Ta pierwsza kadra nauczycielska była po wyższych studiach uniwersyteckich, co podnosiło bardzo poziom szkoły. Byli oni filarami naszej pierwszej ogólnokształcącej szkoły średniej. Nic więc dziwnego, że w tych pierwszych latach grono pedagogiczne i komitet rodzicielski gromadził i zespalał dużą część mieszkańców ówczesnej Zielonej Góry. Spotykali się tam lekarze, farmaceuci, prawnicy oraz pracownicy administracji nowo powstałych fabryk jak „Zastał”, „Polska Wełna” i innych.

Na spotkaniach w formie zabaw czy herbatek byli przedstawiciele władz miejskich, powiatowych, Urzędu Bezpieczeństwa, a także znany już mieszkańcom pan Bogaczyk z małżonką, prowadzący pierwszą księgarnię i wypożyczalnię książek. Były to jakby zaczątki życia kulturalnego miasta.

Pierwsza matura w liceum odbyła się w maju 1946 roku. Była to dla mnie i mego męża ważna chwila, decydująca o przyszłości naszego syna Bohdana, który wtedy uzyskał świadectwo dojrzałości. Była to w naszej rodzinie chwila radośna, wypełniona myślami o dalszym kształceniu. Tak się stało, że nasz syn mający powołanie słuźnikowi wybrał zawód lekarza. Zetknąwszy się w liceum z koleżanką, córką znanych pionierów - lekarzy Wandy i Tadeusza Serafińskich utrwalił przekonanie, że wybór tego zawodu będzie dla niego najszcześniejszy, tym bardziej, że i jego koleżanka, a późniejsza żona Jadzia Serafińska również ten kierunek studiów wybrała. Skończyli oboje Akademię Medyczną w 1951 roku. Po krótkim pobycie w Żarach (szpital wojskowy) osiedlili się na stałe w Zielonej Górze. Syn uzyskał specjalizację lekarza chorób wewnętrznych, żona jego była znaną lekarką pediatrą.

Córka nasza Krystyna znana była w pierwszych latach pobytu w Zielonej Górze jako sportsmenka w drużynie siatkówki. Po zdaniu matury w 1950 roku nie dostała się na studia w Akademii Medycznej na wydziale stomatologii i pod-

jęła pracę w tworzącym się w tym czasie Urzędzie Wojewódzkim w Wydziale Zdrowia. W dwa lata później wyszła za mąż za młodego inżyniera Stanisława Szymańskiego, będącego na praktyce w Lubuskiej Wytwórni Win przy ulicy ówczesnie nazwanej Daszyńskiego, obecnie Moniuszki.

Pomimo pracy zawodowej i obowiązków rodzinnych, już jako matka małej córki nadal kochała swój sport i wyjeżdżała na mecze w drużynie siatkówki reprezentującej Zieloną Górę.

Dobre i szczęśliwe te pierwsze lata zielonogórskie były wypełnione pracą zawodową mego męża i moją. Przy tym, zagospodarowywanie domu i ogródka wymagało dużego nakładu energii i siły. Mieszkanie było zaniedbane, bez mebli najkonieczniejszych do życia. Zanim dostaliśmy przydział na to mieszkanie i wprowadziliśmy się, zajęli się tym poniemieckim domem tak zwani szabrownicy, którzy przyjeżdżali na nasze ziemie zachodnie po to tylko, aby wywieźć najcenniejsze meble i inne przedmioty do centrum kraju, a prawdziwi osiedleńcy, zwłaszcza repatrianci ze wschodu musieli zdobywać uczciwie i formalnie wszystko, co było potrzebne do życia. Dzięki dobrze od samego początku zorganizowanej pracy Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, którego kierownikiem był ob. Marcin Jakubski zaopatrzyliśmy się w niezbędne meble i urządzenia.

Tak zaczęła się nasza powojenna egzystencja. Mój mąż był kierownikiem Urzędu Ziemskiego od 1 sierpnia 1945 roku. Ja podjęłam pracę w 1946 roku w dziale osadnictwa rolniczego, a później miejskiego. Kierownikiem moim był ob. Stankiewicz.

Moja siostra, Zofia Sadowska, inżynier rolnik, osiedliła się z małymi synkami i naszą matką w Starym Kisielinie, dawniej siedzibie baronów von Stoss (po niemiecku Stary Kisielin to Kaseldorf), gdzie powierzono jej zorganizowanie pierwszej szkoły rolniczej dla młodzieży żeńskiej i internatu. Szkoła ta, pod kierownictwem Zofii Sadowskiej prosperowała do 1948 roku, dając podstawowe wykształcenie ogrodnicze młodym dziewczętom osiadłym wraz z rodzicami na indywidualnych gospodarstwach rolnych. Matka zamieszkiwała z moją siostrą, która w tym czasie była wdową, bowiem straciła męża w działaniach wojennych. Musiała więc nasza 70-letnia matka pomagać mej siostrze w wychowaniu synków i prowadzić całe gospodarstwo domowe.

Życie w nowym dla nas miejscu na ziemi z dnia na dzień utrwalało się, zwłaszcza że nasza bliższa i dalsza rodzina przybyła z dalekiego wschodu osiedliła się także w Zielonej Górze, przy ulicy o zapomnianej już nazwie Luba Ustron (dzisiejsza ulica Grunwaldzka). Dawało to poczucie zżywania się z nowym środowiskiem, poczucie odpowiedzialności i zapał do pracy w organizowaniu coraz lepszych warunków życia, umacniając polskość naszego miasta.

Jak już wspomniałam, praca podjęta w 1946 roku polegała na obliczaniu wartości gospodarstw rolnych nadawanych osadnikom oraz wystawianiu aktu własności z wpisywaniem do ksiąg wieczystych. Była to praca bardzo fascynująca, gdyż wyczuwało się że wzruszeniem ten powrót ludności polskiej na ziemię piastowskie.

Prócz pracy zawodowej byłam członkiem Ligi Kobiet. Współpracując społecznie z Kołem Gospodyń Wiejskich

odbywałam niejednokrotnie wędrowki piesze po okolicznych wioskach, gdzie odbywały się spotkania z kobietami. Najbardziej utkwiły w mej pamięci bardzo miłe osoby w Raculi i Przylepie. Ponadto brałam udział w pracach komitetu rodzicielskiego przy powstałym gimnazjum i liceum ogólnokształcącym. Praca komitetu, kierowana przez kilkusobowy Zarząd (inżynier Bagiński kierownik elektrowni, inżynier Lwow pracownik Dyrekcji Lasów Państwowych, pan Wielebiński i moja skromna osoba) polegała na organizowaniu różnych imprez przynoszących skromny dochód dla zdobycia najkonieczniejszych sprzętów i pomocy naukowych, których braki nowo powstała szkoła dotkliwie odczuwała.

Mój mąż (nieżyjący od 1981 roku) wniósł również wiele pracy uczciwej, potrzebnej w różnych dziedzinach i przedsięwzięciach państwowych dla rozwoju i umacniania życia gospodarczego miasta, a w późniejszych latach województwa zielonogórskiego. Lata biegly, rodzina nasza już prawdziwie zielonogórska, powiększała się. Troje wnuków urodziło się w Zielonej Górze, tutaj się kształcili w szkołach podstawowych i średnich, zdobyli wyższe wykształcenie w Poznaniu i we Wrocławiu. Pozakładali rodziny i częściowo powrócili do naszego miasta. Z trójki wnuków jedna wnuczka wyszła za mąż za zielonogórzanina i oboje obecnie pracują w zielonogórskiej służbie zdrowia. Wnuk jest historykiem sztuki na uniwersytecie w Poznaniu. Druga wnuczka zdobyła tytuł naukowy doktora biochemii w Akademii Rolniczej we Wrocławiu, ale dalej czuje się zielonogórzanką i dom przy dawnej ulicy Morwowej uważa nadal za swój dom rodzinny.

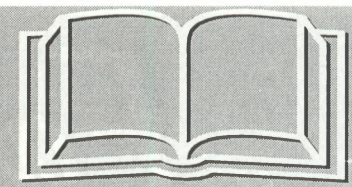
Ciągłość pokoleń przejawia się przyjściem na świat czworga prawnucząt, które w przyszłości utrwala to, co wnieśli ich pradziadkowie do historii Ziemi Odzyskanych 42 lata temu.

*Aby ocalić te fakty od zapomnienia
tę garstkę wspomnień zapisała*

pionierka Maria Jodłowska

Maria Jodłowska urodziła się 2.02.1906 r. w rodzinie ziemiańskiej na Wołyniu. Okres I wojny światowej spędziła wraz z rodziną w Żytomierzu, skąd w 1918 r. powróciła w granice odbudowującej się Polski. Zamieszkała z rodzicami w wołyńskim majątku Rydków. W 1920 r., w ucieczce przed zbliżającym się frontem wojny polsko-bolszewickiej znalazła się w Warszawie, gdzie działała w harcercskiej służbie pomocy ofiarom wojny. Po nastaniu pokoju zamieszkała we Lwowie, gdzie w 1924 r. ukończyła gimnazjum i rozpoczęła studia na wydziale chemii Uniwersytetu Jana Kazimierza. Rok później wyszła za mąż i poświęciła się prowadzeniu domu i wychowaniu dzieci. Po wybuchu II wojny światowej i przejęciu wschodnich województw II RP przez ZSRR z trudem uniknęła wywózki na Syberię, co spotkało wielu członków jej inteligencko-ziemiańskiej rodziny. W Zielonej Górze mieszkała do śmierci 5.05.1996 r.

KSIĄŻKA w latach pionierskich



Ponad 12 tysięcy osadników, którzy w 1945 r. zasiedlili Zieloną Górę, przyjechało do miasta całkowicie pozbawione polskich książek. Wprawdzie w niemieckiej Bibliotece Miejskiej do najpoczytniejszych lektur w okresie międzywojennym należało „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza, było to jednak niemieckie tłumaczenie arcydzieła naszego laureata nagrody Nobla. Z kolei istniejąca niegdyś w Zielonej Górze niewielka biblioteczka Towarzystwa Rzemieślników Polskich, licząca około 70 książek, uległa rozproszeniu po zakończeniu działalności TRP w 1935 r.

O ile wysiłki organizatorskie pionierów-pedagogów bardzo szybko wsparły władze miejskie, co pozwoliło na utworzenie już w 1945 r. trzech szkół podstawowych i szkoły średniej, z powołaniem biblioteki publicznej zarząd miejski zwlekał do 1947 r. A przecież książka była niezbędna w toku nauczania i uczenia się, stanowiła również źródło rozrywki oraz zaspokajania potrzeb kulturalnych w mieście pozbawionym większych atrakcji.

Wytworzoną pustkę musieli w tej sytuacji wypełnić sami pionierzy, wśród których znaleźli się księgarze oraz osadnicy zainteresowani pracą z książką. Należał do nich Alfons Bogaczyk, który wraz z rodziną przyjechał z Leszna, gdzie przed wojną pracował w księgarni i drukarni ojca. Po latach wspominał: „Już w lipcu 1945 r. wspólnie z żoną zorganizowałem w centrum miasta... pierwszą polską w Zielonej Górze księgarnię i wypożyczalnię książek wraz z kolportażem dzienników i periodyków oraz składem artykułów biurowych i szkolnych”. Księgarnia i wypożyczalnia Bogaczyków, nosząca nazwę „Domu Słowa Polskiego”, mieściła się w okazałym budynku przy ul. Żeromskiego 14. Wypożyczalnia dysponowała w 1947 r. ponad 2 tys. tomów, jak to poświadczają pojedyncze egzemplarze książek Bogaczyków zachowane w Muzeum Książki WiMBP im. C. K. Norwida, z wytloczonymi numerami: 2017, 2245 i 2258. Książki fachowo opracowali Henryk Rau – mistrz złotniczy i Edmund Kwiatkowski, którzy prowadzili wspólny warsztat przy Rynku Zbożowym 8, obecnie ul. Gen. Sikorskiego. „Dom Słowa Polskiego” czynny był do 8 stycznia 1948 r., to znaczy do dnia, w którym księgarnia i wypożyczalnia zniszczone zostały przez pożar.

Wkrótce po A. Bogaczyku, księgarnię i wypożyczalnię książek otworzył przy ul. Pocztowej (także w 1945 r.) Wiktor Rodowicz, który w tobołach osadnika przywiózł sporo książek z Wilna. Kilka spośród tych książek, z pieczęciami W. Rodowicza, przechowuje również Muzeum Książki. Wypożyczalnia W. Rodowicza zlikwidowana została w pierwszej połowie 1949 r.

Trzecią wypożyczalnię, ale już nie księgarnię, prowadziła nieznaną z imienia Fedorowicz w małym sklepiku przy ul. Pionierów (obecnie Kupiecka). Udostępniała spory, jak na pionierskie czasy, wybór książek kryminalnych, sensacyjnych i podróży.

Również już w 1945 r., po zakończeniu pracy w KERM, własną księgarnię otworzył „pod filarami”, przy ul. Pocztowej (naprzeciwko księgarni W. Rodowicza), Kazimierz Malicki. Z braku wystarczającej ilości książek prowadził – podobnie jak i inni księgarze w tym czasie – sprzedaż materiałów piśmienniczych i szkolnych.

Wkrótce podjął także kolportaż gazet i czasopism, których sprzedaż szybko się rozwinęła. Wspomina, że największym powodzeniem cieszyły się: „Przekrój” (rozchodził się w ilości 400 egz.), „Żołnierz Polski”, „Szpilki” oraz „Kobieta i Życie”. Także dzienniki (różnych opcji politycznych) rozprowadzał w ilości ponad 1 tys. egzemplarzy dziennie.

Wobec dużych trudności, jakie sprawiało we wczesnym okresie nabycie nowości wydawniczych, ówczesne księgarnie skupowały książki używane, gdyż – jak wspomina K. Malicki – „Ludzie spragnieni byli polskiej książki i na każdy zdobyty egzemplarz kilkadziesiąt chętnych... Mimo męczących wypraw... do Poznania i Łodzi, zasoby książek powiększały się bardzo powoli”.

W listopadzie 1947 r. K. Malicki przekazał księgarnię, którą nadal kierował, Spółdzielni Wydawniczej „Książka”. Teraz, przy zwiększonej obsadzie pracowniczej, utworzył przy księgarni również wypożyczalnię książek. Zorganizowana fachowo, posiadała katalog i operowała kartami książki i czytelnika. W pierwszym rzucie wypożyczalnia udostępniła czytelnikom 300 oprawnych (w intrologatorni SW „Książka”) tomów, a do końca 1948 r. jej zasoby wzrosły do 1200 wol. Wypożyczalnia pozyskała ponad 300 czytelników, którzy opłacali miesięczny abonament, a w chwili rejestrowania się wpłacali zwrotną kaucję. Po połączeniu 1 stycznia 1949 r. SW „Książka” z SW „Wiedza”, księgarnia przestała wypożyczać książki, gdyż kierownictwo SW „Książka i Wiedza” nie zezwoliło na łączenie sprzedaży książek z prowadzeniem wypożyczalni.

Cztery czynne w Zielonej Górze przed 1949 r. prywatne wypożyczalnie książek dobrze wypełniły rolę dystrybutorów książki polskiej w tym najtrudniejszym okresie repolonizacji miasta. Przypomnijmy, że w okresie tylko jednorocznej działalności wypożyczalnia kierowana przez K. Malickiego udostępniła książki ponad 300 zielonogórzanom. Można zasadnie przyjąć, że każda z powstałych wcześniej wypożyczalni pozyskała tych czytelników więcej. Nie popełnimy więc pomyłki, gdy przyjmujemy, że w latach 1947 i 1948 ponad tysiąc mieszkańców Zielonej Góry wypożyczało książki z księgozbiorów „pionierskich” wypożyczalni. Stałe działały trzy, gdyż spalona w początku 1948 r. wypożyczalnia Bogaczyków, zastąpiła w tymże roku wypożyczalnia kierowana przez K. Malickiego.

Warto dodać, że otwarta 3 maja 1947 r. wypożyczalnia Miejskiej Biblioteki Publicznej (przy ul. Jedności Robotniczej 45) dysponowała w pierwszym roku swej działalności księgozbiorem liczącym zaledwie 328 wol. Jeszcze w 1948 r. zasoby MBP były mniejsze (619 wol.) niż wypożyczalni K. Malickiego. Dlatego w pełni słuszne jest stwierdzenie tego nestora zielonogórskiego księgarstwa, że czynne przy księgarniach wypożyczalnie książek spełniły istotną rolę w zaspokajaniu głodu książki odczuwanego w tym czasie przez zielonogórzan.

LITERATURA

M. in. w oparciu o wspomnienia: A. Bogaczyka: W służbie polskiego słowa. W: Mój dom nad Odrą. Zielona Góra 1971 i K. Malickiego: Przyjaźń z książką. Księgarz 1981, nr 1.

Grzegorz Chmielewski

"Fajne miasto"

W przeddzień kapitulacji reżimu „brunatnych koszul” skończyła się dla mnie gehenna obozów koncentracyjnych. Siedziałem w Oświęcimiu-Brzezince, Buchenwaldzie, Gross Rosen i Leitmeritz. W rodzinnym Krakowie, przepełnionym ludźmi, nie odnalazłem nikogo z najbliższych. Głośniki rozmieszczone na placach zachęcały do wyjazdu na Ziemię Odzyskaną. Wielu znajomych wybierało się na obszary położone wzdłuż Odry. Wielu okaleczonych przez wojnę wierzyło, że tam można będzie rozpocząć nowe życie.

W organizującym się właśnie Związku b. Więźniów Politycznych otrzymałem skierowanie do Zielonej Góry. Miałem włączyć się w przygotowywaną akcję repolonizacji miasta. Nikt jednak nie umiał udzielić mi bliższych informacji o nim. Dowiedziałem się jedynie, że należy jechać w kierunku na Poznań. Lecz podczas dwudniowej podróży z licznymi przesiadkami i przestojami wyrobiłem sobie pogląd o tej dalekiej miejscowości, stworzyłem nawet dokładny obraz, a to dzięki rozmowom z kolegami. Wielu z nich, przeniesionych służbowo, osiadło na stałe w Zielonej Górze, dotąd obecnie podążały ich rodziny.

Po wyzwoleniu Poznania, gdy linia frontu przesuwiała się na obszary lubuskie, bezpośrednio za wojskowymi jednostkami polskimi i radzieckimi, podążały ekipy pracowników różnego rodzaju służb PKP, celem możliwie szybkiego odbudowania sieci komunikacyjnej. Na zapleczu walczących oddziałów wspólnie z grupami saperskimi, jeszcze pod ostrzałem hitlerowskiej artylerii i bombami Luftwaffe, kolejarze pracowali gorączkowo przy naprawie torowisk, usuwaniu wraków parowozów i wagonów, odbudowie bodaj prowizorycznej mostów i obiektów stacyjnych. Po prymitywnie zakładanych szynach sunęły jedne za drugimi transporty wojskowe na pole walki. Sztabowe plany operacyjne miały także na uwadze możliwie sprawną rekonstrukcję kolejnictwa na potrzeby przyszłego połączenia Ziemi Lubuskiej z centrum kraju i owe roboty stanowiły właśnie początek tych zamierzeń.

W chwili gdy w ofensywnych działaniach korpusy radzieckie i dywizje polskie szturmowały odrzański brzeg, w zorganizowanej wśród gruzów Poznania Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych podjęto śmiało koncepcję utworzenia w Zielonej Górze, bezpośrednio po jej wyzwoleniu, oddziału ruchowo-handlowego PKP, jako związku władz kolejowych na terenie lubuskim. Do momentu opuszczenia miasta przez uchodzące bojowe grupy Wehrmachtu i SS wspomnianą placówkę usytuowano w Wolsztynie, a już w lutym 1945 roku przeniesiona zo-

stała zgodnie z planem do Zielonej Góry. Tak więc pierwszymi osadnikami miasta stali się pracownicy PKP. Gdy wysiadłem z pociągu w nocy przed peronem, na którym rzuciła się w oczy tablica z napisem „Zielonagóra” (wówczas obydwie człony tej nazwy pisano łącznie), właśnie ludzie w granatowych mundurach z uskrzydłonym kołem na wyłogach udzielili mi pierwszych wskazówek. Naprzód o samym mieście. Dowiedziałem się, że wyszło ono z opresji wojennych obronną ręką bez poważnych zniszczeń dzięki błyskawicznemu przełamaniu frontu przez radzieckie jednostki I Frontu Białoruskiego. Na dzisiejszej ulicy Podgórnej stał garnizon wojskowy, którego naczelnik generał major Borisow zabezpieczał miasto przez ewentualnymi dywersjami pozostałych w okolicy fanatyków hitlerizmu. Rozkazy i zalecenia generała wykonywał komendant wojenny major Popławski. Dla zapewnienia normalnego toku działania samorządu miejskiego komendant natychmiast obsadził w nim stanowiska komunistami niemieckimi i innymi Niemcami, co do których była pewność, że z tą potworną bandą nie mieli nic wspólnego. Ale takich przyzwyczajonych było ledwo na lekarstwo. Jak wynikało z relacji kolejarzy, właśnie poprzedniego dnia przed moim przyjazdem, pełniący obowiązki burmistrza działacz komunistyczny Franciszek Laube przekazał władzę w ręce pierwszego polskiego burmistrza Tomasza Sobkowiaka, zaś przedstawicielem władzy państwowej był pełnomocnik ekspozytury Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów inżynier Karol Paszyński.

Do Paszyńskiego skierowałem nazajutrz swe kroki. Po przeczytaniu zaświadczenia wydanego przez radziecką komendanturę o zwolnieniu mnie z wyzwoleńnego lagru, zapytał on o mój zawód i wykształcenie. Gdy usłyszał, że jestem dziennikarzem i absolwentem wydziału prawa, zawołał: - Szczęśliwy traf mi ciebie zesłał. Obejmiesz funkcję mego zastępcy dla spraw organizacyjnych. Nasza działalność zmierza do szybkiej repolonizacji miasta i przywrócenia mu normalnego życia. Chodzi m. in. o zabezpieczenie zakładów przemysłowych i inne sprawy, których jest mnóstwo, a wszystkie musimy rozwiązywać sami, ponieważ nie został dotąd obsadzony urząd starosty. - Zapytałem nieśmiało, jak wygląda podział resortowy ekspozytury. Paszyński na to: - No właśnie pańska głowa w tym, aby dokonać podziału kompetencji.

Zagadnąłem przeto o bliższe instrukcje. Paszyński oświadczył, iż przed chwilą udzielił mi ich ustnie i więcej nie ma nic do powiedzenia, dodał jeszcze parę mglistych słów na temat mojego uposażenia, z których nie

bardzo mogłem się zorientować w wysokości i regularności zarobków. Całość przedstawiała się enigmatycznie, ale też był w tej całej rozmowie jeden moment pozytywny, mianowicie wręczenie mi karty stołówekowej na trzy dzienne posiłki. Pełnomocnik polecił mi poza tym udać się bezzwłocznie do „obmana”, to znaczy czasowego zarządcy dzielnicy śródmiejskiej, zamieszkałego w budynku drukarni, celem wybrania sobie i zajęcia mieszkania. W dyspozycji tego Niemca znajdowały się klucze opuszczonych mieszkań. Zorganizowany dopiero Zarząd Miejski nie był w stanie jeszcze ich przejąć.

Szedłem ulicami. Z dymników i okien kamienic zwiślały długie, białe flagi. - Co to za dekoracje? zagadnąłem mijającego mnie mężczyznę. Spojrzał na mnie zdziwiony: - Die weisse Fahnen bedeuten totale Kapitulation! - po czym znikł szybko w mrocznej bramie. Niektóre flagi



były bardzo długie, te sprawiały mi szczególną przyjemność. Złośliwie snułem przypuszczenia, że wieszają je najbardziej zasłużeni dla kapitulującej totalnie Rzeszy.

„Obman” wykręcał się jak umiał od wskazania mieszkania. Jako ostatecznego argumentu użyłem numeru więziarskiego, wytatuowanego na moim lewym przedramieniu w obozie oświęcimskim. Równocześnie oświadczyłem kategorycznie, że muszę znaleźć dach nad głową, gdyż własnego pozbawili mnie hitlerowcy. Wręczył mi klucz do mieszkania na drugim piętrze w sąsiedniej kamienicy.

Miałem już dom. Spieszyło mi się, żeby go zobaczyć. Stałem w drzwiach i przekreśliłem kontakt elektryczny; zapaliło się światło. W kuchni otworzyłem kran - woda poczęła płynąć. W pokoju stało szerokie łóżko. Czego więcej mogłem pragnąć po lagrowej gehennie?

Na drzwiach wejściowych napisałem kawałkiem kredy: mieszkanie zajęte przez polskiego osadnika. Od tej chwili byłem zakwaterowany. Aby jednak uczynić zadość formalnościom, w drodze powrotnej do swego urzędu wstąpiłem do magistratu czyli Zarządu Miejskiego. Na schodach spotkałem szpakowatego postawnego mężczyznę. Zapytał, czego sobie życzę. Okazało się, że to właśnie burmistrz miasta Tomasz Sobkowiak. Na odwrocie kartki z niemieckim nadrukiem zarejestrował mnie jako mieszkańca miasta, równocześnie potwierdzając przydział mieszkania odcisniętą pieczęcią, na której widoczny był herb Zielonej Góry. Dolną część z obcojęzycznym tekstem zalepił osobiście papierkiem.

Naprzeciwno ratusza zauważyłem otwarty zakład fryzjerski. Mistrz nożyc i brzytwy powitał mnie radośnie w polskim języku. Za ustnym zezwoleniem pełnomocnika Paszyńskiego objął porzucony lokal, zanim jeszcze zdążono mu wydać formalny przydział. Zaczął długi ceremoniał golenia. Fryzjer co chwilę zmieniał brzytwę. Na moje pytanie, czy wszystkie są tępe, odpowiedział, że raczej wystrzone, ale ponieważ jestem pierwszym klientem, przeto pozwoli sobie wypróbować swoją kolekcję na mojej twarzy. Niech cię licho, pomyślałem, ale bez oporu poddałem się operacji. Twarz była czerwona jak gotowany rak, ale nie mogłem przecież gniewać się na mistrza, który z takim zapalem sposobił się do pracy w swoim nowym mieście. Za naszą wspólną pomyślność wypiliśmy na koniec po kieliszku bimbru, którym mnie poczęstował. Pieniądzy za usługę nie przyjął.

Poczułem się jakby rażniej. Na ulicy ktoś nagle zawołał do mnie. - Jak się panu powodzi? Był to kolejarz, z którym jechałem w jednym przedziale. Udzielał mi po drodze informacji o mieście. - Dziękuję, czuję się doskonale! - odparłem. - No, widzi pan, mówiłem przecież, że Zielona Góra to „fajne” miasto! - odpowiedział.

Mieczysław Turski

Mieczysław Turski (1906-1983) należał do pionierów zielonogórskiego dziennikarstwa. Karierę w tym zawodzie rozpoczął przed wojną w sławnym koncernie prasowym IKC. Po przejściu przez kilka obozów koncentracyjnych w czasie okupacji znalazł się w maju 1945 r. w Zielonej Górze. Pracował w Urzędzie Pełnomocnika Rządu i starostwie, biorąc udział w organizacji m. in. służby zdrowia i przemysłu. Współtworzył życie prasowe (Expresz Poznański i Gazeta Lubuska - Zielonogórska) i kulturalne miasta (m. in. kabalet Zielony Kot, teatru Kolejarza i Polskiej Welny, pierwsze Gody Winobraniowe). Powyższe wspomnienie pochodzi ze zbioru *Takie to były czasy*, wydanego przez LTN i TPZG w 1973 r.

Dzieje Lubuskiej Wytwórni Wódek Gatunkowych (część I)

Zielonogórskie
koniaki, wódki, likiery

Produkcja do 1945 r.

Początki przemysłowej produkcji koniaków i wódek w Zielonej Górze związane były ściśle z najstarszą miejscową specjalnością - winiarstwem. W latach 1860 - 1900 w oparciu o miejscowe surowce, a przede wszystkim wytwarzane w Zielonej Górze wina, rozwinęła się w mieście produkcja koniaków. Jak bowiem wiadomo, podstawowym składnikiem koniaków jest destylat winny. W tym samym czasie rozpoczęto również przemysłową produkcję innych wódek gatunkowych i likierów opartych na spirytusach wytwarzanych ze zboża i ziemniaków w licznie powstałych gorzelnianach zbudowanych przez właścicieli folwarków. Rozwojowi przemysłowej produkcji koniaków, wódek gatunkowych i likierów sprzyjał wzrost popytu na alkohol o większej mocy. Dzięki sprzyjającej koniunkturze powstało w Zielonej Górze w opisywanym okresie trzynaście wytwórni koniaków, wódek i likierów. Prosperity dla miejscowych producentów nie trwała długo. Rozwój komunikacji kolejowej sprawił, że na rynek zielonogórski, zaopatrywany dotąd prawie wyłącznie przez miejscowe wytwórnie, zaczęły napływać wyroby z okolic Nadrenii. Konkurencyjne obce firmy posiadały przewagę nad wytwórniami zielonogórskimi, ponieważ produkowane przez nie koniaki były pod względem gatunkowym lepsze i znacznie tańsze. Sprzyjały temu znacznie lepsze warunki klimatyczne i glebowe w zachodnich regionach Niemiec niż w regionie zielonogórskim, skutkiem czego uzyskiwany tam surowiec był wyższej jakości i cena wina potrzebnego do produkcji była znacznie niższa. W warunkach ostrej konkurencji producenci zielonogórscy, zmuszeni zostali do przestawienia się na surowiec pochodzący z okolic zachodnich, a nawet z Francji.

Wypieranie miejscowego surowca przy produkcji koniaków, konkurencja win reńskich i zagranicznych, a także wzrastające spożycie piwa i wódek spowodowały gwałtowny spadek zapotrzebowania na zielonogórskie winogrona. Mimo niepomysłnej koniunktury dla koniaków i kryzysu, zielonogórskie wytwórnie nadal prosperowały, podejmując produkcję wódek gatunkowych i likierów. Podstawowy składnik tych wyrobów - spirytus rektyfikowany - był bowiem w okolicach Zielonej Góry produkowany w dostatecznych ilościach.

Nowy kryzys nastąpił w 1909 r. Odnotowano w tym czasie spadek spożycia i produkcji napojów alkoholowych

w Niemczech. Klęska poniesiona przez Niemcy w pierwszej wojnie światowej ponownie pogłębiła niekorzystną sytuację przemysłu alkoholowego. Gwałtowne załamanie rynku nastąpiło w czasie wielkiego kryzysu. Spośród trzynastu wytwórni zielonogórskich w latach 1929-1933 pięć zostało zlikwidowanych. Do zakończenia drugiej wojny przetrwało w mieście osiem wytwórni koniaków, wódek gatunkowych i likierów. Wśród nich na szczególną uwagę zasługują trzy wytwórnie, w których po wojnie zlokalizowana została Lubuska Wytwórnia Wódek Gatunkowych. Były to:

1. Wytwórnia Koniaków - Albert Buchholz - Zielona Góra, obecnie ul. Jedności 59/61. Rok założenia: 1860. Była to pierwsza wytwórnia koniaków w mieście. Produkowano w niej również w małych ilościach inne wódki gatunkowe. Oprócz tego na terenie fabrycznym prowadzona była olejarnia. Produkcja koniaków i wódek wynosiła rocznie ok. 30 tys. l (100% spirytusu). Zatrudnionych było w niej ok. 40 - 50 pracowników.

2. Wytwórnia Koniaków - Heinrich Raetsch - Zielona Góra, obecnie ul. Chrobrego 1-5. Rok założenia 1886. W późniejszym okresie fabryka produkowała przeważnie likiery i wódki gatunkowe. Produkcja roczna ok. 90 tys. l (100% spirytusu). Zatrudnienie 40-50 pracowników.

3. Wytwórnia Koniaków „Scharlachberg” - Zielona Góra, obecnie ul. Batorego 31. Zbudowana w 1893 r. W ostatnim okresie przed 1945 r. służyła jako magazyn i rozlewnia koniaków i wódek produkowanych w Bingen nad Renem. Była to filia handlowa firmy „Scharlachberg”.

Pierwszy rok po wojnie

W kronice naszej zajmujemy się losami trzech wspomnianych poniemieckich wytwórni koniaków i wódek. W dniu 9 czerwca 1945 r. fabryka firmy „Albert Buchholz” została przejęta od komendatury radzieckiej przez pełnomocnika Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów inż. K. Paszyńskiego pisemnym aktem o treści:

Akt niniejszy został spisany w mieście powiatowym Zielona Góra w dniu 9.06.1945 r. My niżej podpisani, z jednej strony Pomocnik Wojennego Komendanta miasta Zielonej Góry dla spraw gospodarki mjr. Siemczenko, z drugiej strony Pełnomocnik Kom. Ekonom. Rady Ministrów

inż. K. Paszyński, zawarliśmy niniejszy akt o treści następującej:

Pomocnik Wojennego Komendanta m. Zielonej Góry mjr. Siemczenko zdał, a pełnomocnik K.E.R.M. inż. K. Paszyński przyjął urządzenie i zabudowanie - Fabryka Wódek (Weinbrennerei) Albert Buchholz, Zielona Góra, Berlinerstrasse 35/36.(...)

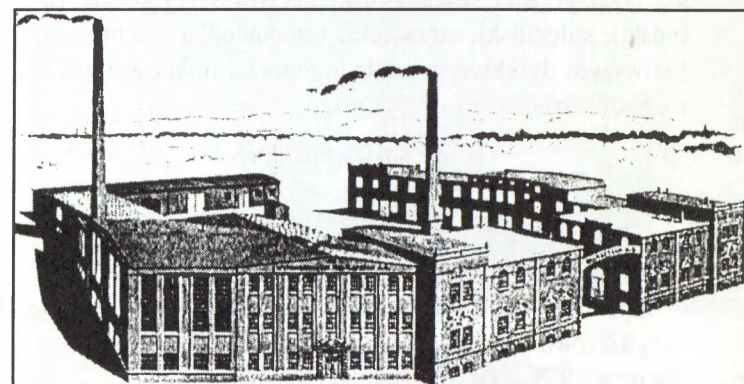
Po przejęciu fabryki Buchholza pełnomocnik K.E.R.M. przydzielił ją w celu zabezpieczenia, podobnie jak to wówczas czyniono z innymi obiektami przemysłowymi, Antoniemu Kuleszy, który utworzył w niej przedsiębiorstwo zarejestrowane pod firmą: „Antoni Kulesza, fabryka wódek i likierów, dawniej A. Buchholz w Zielonej Górze”.

W fabryce tej Antoni Kulesza produkował sposobem gospodarczym wódki i likiery w pomieszczeniu rozlewni ze spirytusu dostarczanego m. in. przez oddziały wojska radzieckiego, które też zabierały część wyprodukowanych wyrobów. Poza tym zdołano ustalić, że A. Kulesza nabył 16 l. spirytusu od Delegatury Tymczasowego Zarządu Państwowego w Zielonej Górze po 90 zł za jeden litr, a nawet otrzymał od Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego 50 l. spirytusu dla wykonania próbek wódek gatunkowych (październik 1945 r.). A. Kulesza zatrudniał w tej fabryce trzynastu-czternastu Niemców i jednego Polaka - Bohdana Staniszewskiego, który był kierownikiem biura.

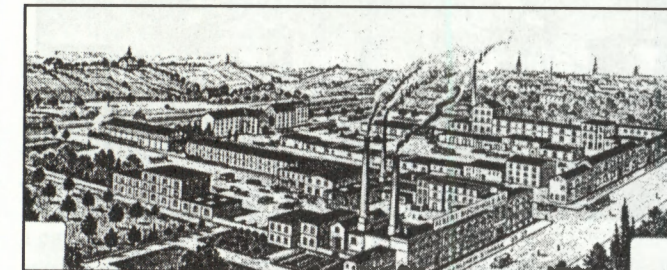
Jakie ilości wódek i likierów produkował A. Kulesza i jakie ilości sprzedawał, trudno było ustalić. Faktem jest, że na rynku miejscowym znane były wódki i likiery produkcji Kuleszy pod popularną nazwą „Kuleszówka”. Sprzedawano je w tutejszych restauracjach.

Obok istniejącego biura firmy A. Kuleszy już 1 sierpnia 1945 r. zaczęło działać w Zielonej Górze z siedzibą w budynku fabryki Buchholza Biuro Delegatury Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego w Poznaniu. Kierownikiem biura, które początkowo występowało jako „Oddział”, był Michał Ratajczyk - pełnomocnik PMS w Poznaniu. Zakres pełnomocnictwa ustalało zaświadczenie kierownika Delegatury Dyrekcji PMS w Poznaniu:

Delegatura Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego zaświadcza, Ob. Ob. Ratajczak Michał i Kowar-



sch Józef z Zielonej Góry upoważnieni są do objęcia oraz uruchomienia w jej imieniu wszystkich zakładów przemysłu spirytusowego, m.in. również gorzelni rolniczych oraz zabezpieczenia ich majątku i urządzeń technicznych w następujących powiatach: 1. Trzcianka (Schonlanke), 2. Strzelce (Friedeberg), 3. Gorzów (Landsberg), 4. Skwierzyna (Schwerin), 5. Międzyrzecz (Meseritz), 6. Zielonice (Zielenzig-Sulęcin), 7. Słubice-Wschód (Frankfurt n/Odr),



Wytwórnia Koniaków A. Buchholz - widok z lat dwudziestych, dziś Zakład LWVG przy ul. Jedności.

8. Krosno Nowe (Crossen), 9. Krosno Stare (Crossen), 10. Gubin (Guben), 11. Świebodzin-Sulechów (Schwiebus-Zulichau), 12. Zielonagóra (Grünberg), 13. Wschowa (Fraustadt), 14. Piła (Schneidemühle), 15. Babimost (Bomst).

*Kierownik Delegatury
Inż. Jerzy Sawicki*

W sierpniu 1945 r. Delegatura Dyrekcji PMS w Poznaniu przejęła fabrykę Buchholza. Potwierdzeniem przejęcia zakładu był znajdujący się do dziś w aktach LWVG tzw. „akt zajęcia” o treści:

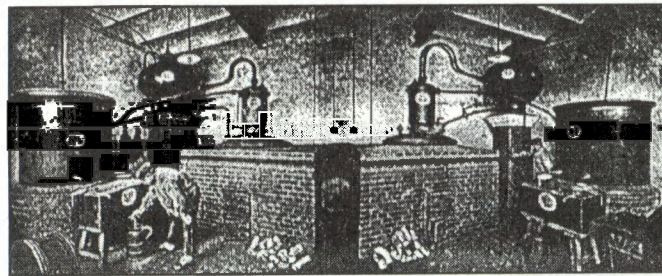
Gorzelnia Przemysłowa (fabryka koniaków, wódek, likierów: Albert Buchholz AG w Zielonej Górze ul. 3 Maja 35/36 (dawna nazwa ul. Jedności) zajęta przez Państwowy Monopol Spirytusowy. Tymczasowy Zarządca: Antoni Kulesza.

W przejętych zakładach utworzone zostało przez Delegaturę Poznańską PMS przedsiębiorstwo pod nazwą: „Gorzelnia Koniaków i Wytwórnie Wódek Gatunkowych Państwowego Monopolu Spirytusowego w Zielonej Górze”. W skład wymienionego przedsiębiorstwa włączone zostały zgodnie z pismem Kierownika Delegatury w Poznaniu poniemieckie zakłady znajdujące się w Zielonej Górze: Raesch, Buchholz, Scharlachberg, May, Mulsch i wszystkie inne przedsiębiorstwa przystosowane do wytwarzania koniaków lub wódek gatunkowych. W tym samym piśmie z 18 sierpnia 1945 r. Antoni Kulesza mianowany został I zastępcą kierownika utworzonego przedsiębiorstwa. Kierowni-

Wytwórnia Koniaków H. Raetsch - widok z 1928 roku. Obecnie Zakład LWVG przy ul. B. Chrobrego.

kiem zaś został Cz. Buschke, który jednak zaraz wyjechał i już nie wrócił do Zielonej Góry.

Utworzone przez Delegaturę Poznańską przedsiębiorstwo nie zostało przez Dyрекcję PMS w Warszawie zatwierdzone i nie było uruchomione. Antoni Kulesza w rzeczywistości nie pełnił funkcji zastępcy kierownika, lecz



Wnętrze Wytwórni Koniaków A. Buchholz w latach dwudziestych.

produkował w dalszym ciągu wódki gatunkowe na własny rachunek, zatrudniając poprzedni personel, który jednak stopniowo zwalniał. Reszta personelu została zwolniona 10 listopada 1945 r. z wyjątkiem praktykantki Zofii Kosińskiej i kierownika biura Bohdana Staniszewskiego.

W czasie przejściowego zarządzania fabryką przez A. Kuleszę, we wrześniu 1945 r. wybuchł pożar, wzniecony przez Niemkę mieszkającą na terenie fabryki. Pożar zniszczył część drewnianej szopy i budynku po drugiej stronie dziedzińca. Po tym wypadku A. Kulesza doprowadził do porządku jedynie hydranty. Innych inwestycji i remontów nie robił, uporządkował tylko teren fabryczny. Pod względem ogólnego bezpieczeństwa fabryka była ochrana przez uzbrojoną straż przemysłową.

Druga polonijna wytwórnia koniaków firmy „Scharlachberg” przy dzisiejszej ulicy Batorego 31, która później stała się częścią LWWG, została przydzielona przez pełnomocnika KERM inż. Paszyńskiego prywatnemu przedsiębiorcy Stanisławowi Grzybowskiemu. Obiekt ten był wykorzystywany przez S. Grzybowskiego jako skład warzyw i owoców, z których robiono tam przetwory warzywne i soki owocowe. W sierpniu 1945 r. wytwórnia została przejęta przez Delegaturę PMS w Poznaniu. Mimo wystawienia aktu zajęcia podobnie jak w przypadku fabryki Buchholza, obiekt w dalszym ciągu był użytkowany przez S. Grzybowskiego. Stan taki trwał do 18 grudnia 1945 r.

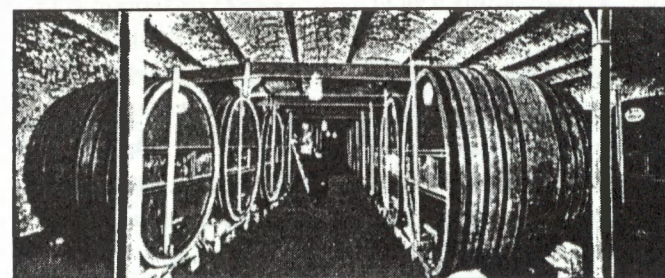
Trzecia gorzelnia koniaków H. Raetscha przy ul. Dworcowej (obecnie Chrobrego), była początkowo w posiadaniu wojska radzieckiego, a po opuszczeniu przez jednostkę wojskową była w dalszym ciągu zajęta przez cywilnych robotników radzieckich, którzy opuścili ten obiekt w drugiej połowie grudnia 1945 r.

Spośród zorganizowanych w tym czasie placówek PMS w Zielonej Górze należy wspomnieć o sklepie sprzedaży detalicznej wyrobów monopolowych przy ul. Rynek 26.

Sklep ten został przejęty przez Spółdzielnię „Społem” 1 marca 1947 r. Taki sam sklep funkcjonował również w Rzepinie, a trzeci w Świebodzinie, oba przejęte później przez „Społem”.

Mimo funkcjonowania na terenie miasta Biura Poznańskiej Delegatury Dyrekcji PMS, przybył w końcu października lub na początku listopada 1945 r. delegowany bezpośrednio z Warszawy pełnomocnik Dyrekcji PMS - Karol Pstruszeński. Już 7 listopada 1945 zwraca się on do Delegatury Tymczasowego Zarządu Państwowego w Zielonej Górze o przekazanie na rzecz PMS pięciu polonijnych gorzeln koniaków i fabryk wódek: Buchholz, Scharlachberg, Raetsch, May i Mulsch. W czasie nieobecności pełnomocnika w Zielonej Górze zastępował go Bogumił Kosowski, upoważniony do zarządzania zakładami PMS w Zielonej Górze. O uruchomieniu produkcji wódek K. Pstruszeński powiadomił również zielonogórski Urząd Skarbowy. W wystawionych pismach przez pełnomocnika, posłużono się w nagłówku nazwą Zakłady Przemysłowe PMS w Zielonej Górze chociaż formalnie powołane zostały one później, 20 listopada 1945 r., zarządzeniem Dyrekcji PMS w Warszawie.

Wniosek K. Pstruszeńskiego o przejęcie wymienionych zakładów należy uważać za formalne dopełnienie obowiązku.



Piwnice w Wytwórni Koniaków A. Buchholz wypełnione beczkami z dojrzewającym koniakiem – widok z lat dwudziestych.

zorycznego ich przejęcia jeszcze w sierpniu 1945 przez Delegaturę Poznańską.

Powołane przez Dyрекcję PMS w Warszawie Zakłady Przemysłowe PMS w Zielonej Górze przejęły czynności Delegatury Dyrekcji PMS na okręg zielonogórski tj. powiaty zielonogórski, krośnieński i gubiński, świebodziński, międzyrzecki, skwierzyński, gorzowski, rypiński (rzepiński), sulciński, strzelecki, trzcianiecki i wschowski. Pierwszym dyrektorem zakładów został mianowany Karol Pstruszeński.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Leon Podolski

Autor *Dziejów LWWG*, długoletni pracownik zakładu, był kierownikiem działu administracyjno-gospodarczego. Zmarł w 1979 roku.

Nauczyciele pierwszej polskiej szkoły średniej w Zielonej Górze

Pierwszą polską szkołą średnią w Zielonej Górze było Miejskie Koedukacyjne Liceum i Gimnazjum, które miało swoją siedzibę w polonijnym gimnazjum przy Placu Słowiańskim. W 1945 r. uczelnia ta miała po dwie klasy I, II, III i IV gimnazjum oraz jedną klasę licealną. Łącznie uczęszczało wtedy do tej szkoły około 200 uczniów. Szkoła ta początkowo nie była placówką państwową. Utrzymywała się z dotacji miasta oraz ze składek wpłaconych na Komitet Opieki Rodzicielskiej przy Gimnazjum i Liceum. Składka na Komitet za dwa miesiące wynosiła 500 zł. Nauczyciele w pierwszych miesiącach swojej pracy w tym okresie nie otrzymywali wynagrodzenia pieniężnego, jedynie tzw. deputat żywnościowy.

Pierwszym dyrektorem Gimnazjum i Liceum był Stanisław Błaszczak. Od roku szkolnego 1946/47 funkcję dyrektora tej szkoły, przeniesiony na ulicę Licealną, pełnił Stanisław Krzysik. Nauczycielami, czyli jak ich wówczas nazywano, profesorami, były polonistki: pani Helena Sołowiej i Teodozja Poklewska, które miały niełatwe zadanie w krzewieniu poprawnej polszczyzny wśród uczniów, pochodzących z różnych regionów Polski, a nawet spoza jej granic. Nie było wówczas jeszcze opracowanych programów nauczania ani potrzebnych podręczników. Każdą polską książkę, o treści gramatycznej czy literackiej, przekazywano sobie z rąk do rąk. Łatwiejsze zadanie w realizacji swoich założeń programowych mieli nauczyciele matematyki: Gorlewski i Szymański (pseudonim „Motor”). W przypadku ich potrzeb wystarczyła kreda, tablica i zeszyty, które uczniowie wówczas sami produkowali z czystych kartek lub druków polonijnych.

Nauczycielem geografii był Stefan Pachucki, który korzystał wtedy z map i globusów polonijnych, gdyż polskich jeszcze nie było. Uczniom zadawał do domu kopiowanie na pa-

pierze pergaminowym konturów map kontynentów z zaznaczeniem na nich nazw mórz, jezior, rzek, gór oraz ważniejszych miast.

Inną metodę pracy z uczniami stosował Wiktor Rodowicz (ojciec Maryli), nauczający biologii. Dla ułatwienia opanowania materiału z tego przedmiotu opracowywał i powielał skrypty tematyczne, które nieodpłatnie przekazywał uczniom. Zachęcał ich też do łowienia i preparowania motyli i innych owadów oraz do sporządzania zielników. Sam posiadał w swoim domu przy obecnej ulicy Bankowej bogatą kolekcję motyli krajowych i egzotycznych. Nauczycielami fizyki i chemii byli pani Łysowa i Magalas. Oni też mieli wiele kłopotów z urządzaniem swoich pracowni i demonstrowaniem uczniom różnych ćwiczeń i doświadczeń.

Historii uczył wówczas Edward Kula, który podobnie jak polonistki, każdą polską książkę o tematyce historycznej wykorzystywał i udostępniał uczniom. Historię w sposób bardzo interesujący wykladała też p. Wanda Żurek. Matematykiem był p. Filarski. Języka francuskiego uczyła Izabela Jakubska, która swoim zaangażowaniem i uczuciowym podejściem do tego przedmiotu potrafiła sobie zjednać sympatię uczniów i wzbudzić chęć do nauki. Najbardziej jednak nie lubianym przedmiotem w owym czasie była łacina. Nauczycielką łaciny była pani Krzysik, żona drugiego dyrektora tej szkoły. Trudna gramatyka, składnia i tłumaczenia sprawiały uczniom najwięcej kłopotów i trudności.

Uczniami gimnazjum i liceum opiekował się też ksiądz, który organizował specjalne msze niedzielne tylko dla uczniów tej szkoły.

Roman Wiatrowski

(jeden z pierwszych uczniów gimnazjum zielonogórskiego)



Dawne Miejskie Koedukacyjne Liceum i Gimnazjum – obecnie budynek dydaktyczny Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

Fot.
Leszek Krutulski-
Krechowicz

POCZĄTKI ZIELONOGÓRSKIEGO SZKOLNICTWA I DZIAŁALNOŚCI OŚWIATOWEJ

Organizacją szkolnictwa w powiecie zielonogórskim zajął się w lipcu 1945 roku inspektor szkolny Feliks Tworzydło, który prawie równocześnie był współorganizatorem szkolnictwa we Wschowie i Nowej Soli.

W powiecie zielonogórskim wg stanu na rok 1945/46 znajdowało się 41 budynków szkolnych, a w samym mieście 4. W roku 1947 czynne były wszystkie szkoły. Inspektorat miał w roku 1946/47 do dyspozycji ogółem 149 nauczycieli, z czego tylko 17 osób nie posiadało kwalifikacji. Do szkół powszechnych uczęszczało w Zielonej Górze 2131 dzieci, w powiecie zaś 3735. Pod opieką Inspektora Szkolnego było również 12 przedszkoli, z czego w mieście 4. Ogółem do przedszkoli uczęszczało 664 dzieci, wychowaniem których zajmowało się 12 przedszkolank, które ukończyły specjalne kursy, zorganizowane przez Kuratorium Szkolne w Poznaniu.

Wydział Oświaty dla Dorosłych prowadził podinspektor, znany działacz „czytelnikowski” i pierwszy w Zielonej Górze korespondent „Głosu Wielkopolskiego” Franciszek Borowczak, który informował mnie o działalności wydziału. W roku 1946 na terenie powiatu prowadzono 24 komplety dokształcające z zakresu 7 klas szkoły powszechnej, na które uczęszczało ogółem 610 uczniów, a uczyło 41 nauczycieli. Wydział prowadził 3 świetlice (którymi kierowali odpowiednio przeszkoleni nauczyciele), dwa ludowe zespoły teatralne i dwa chóry mieszane.

W Zielonej Górze w roku 1946/47 założony został również Uniwersytet Powszechny podzielony na trzy komplety, którymi kierował i opiekował się osobiście Inspektor Szkolny. Wykładowcami byli nauczyciele szkół średnich oraz przedstawiciele zielonogórskiej inteligencji pracującej.

Wydział Oświaty dla dorosłych zorganizował bibliotekę, która miała w roku 1947 już 1612 książek. Zakupiono je z pieniędzy zebranych podczas zbiórki ulicznej, która odbyła się w ramach „Dni Oświaty” w roku 1946 i w sumie dała 86 tysięcy

złotych, a także z zasiłków Ministerstwa Oświaty i Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego.

W roku 1947 zakupiono książek na sumę 398 tysięcy złotych. Na sumę tę składały się dotacje uchwalone przez Miejską Radę Narodową w Zielonej Górze, Wydział Powiatowy i Ministerstwo Oświaty. Komitety Biblioteczne przeznaczyły na ten cel z dalszych zbiorów i imprez 58 tysięcy złotych.

Będący początkowo pod opieką Inspektoratu Szkolnego i Powiatowej Rady Związków Zawodowych Dom Społeczny przeszedł pod całkowitą administrację **Polskiego Związku Zachodniego**, a nad stroną oświatową czuwał w dalszym ciągu podinspektor Oświaty dla Dorosłych. Kierownictwo Domu Społecznego objął nauczyciel inż. rolnictwa **Aleksander Dawid**, który był także korespondentem ryczałtowym „Głosu Wielkopolskiego”.

Referatem Opieki nad Dzieckiem przy Inspektoracie kierowała **Stefania Klementowska**, żona pełnomocnika Rządu **Jana Klementowskiego** i starosty pow. zielonogórskiego. Referat ten opiekował się 108 sierotami.

W Zielonej Górze istniał Powiatowy Oddział Związku Zawodowego Nauczycieli, którego prezesem był **Marian Sosiewicz**. Zarząd Związku współpracował z Inspektoratem Szkolnym, wspólnie opracowując plan pracy głównie w zakresie oświaty dla dorosłych.

W Zielonej Górze powstało drugie po Gorzowie Państwo Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych z przeszło 300 słuchaczami. Za przykładem Gorzowa również w Zielonej Górze powstała Szkoła TPD. Poniżej podaję moje na ten temat notatki:

„Głos Zielonogórski”: „Z inicjatywy zarządu b. RTPD we wrześniu 1948 r. powstała w Zielonej Górze Szkoła Państwowa TPD. Początkowo w ciągu półroczna, nauka odbywała się w gmachu miejskiego liceum dla dorosłych. W tym czasie odnowiono malowniczo położony gmach przy ul. Wazów nr 11”.

Organizatorem szkoły był jej obecny kierownik Stanisław Szwej.

R.W.

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Litery w oznaczonych polach od 1 do 11 utworzą dodatkowe rozwiązanie.

POZIOMO:

1. Zofia dla koleżanki lub batalion Kedywu w Powstaniu Warszawskim, 4. ilość naszych lat, a także okres w dziejach świata, 6. skupisko drzew, krzewów i traw, 8. znieśławienie, potwarz, mówienie nieprawdy, 10. często ścieramy z mebli, 11. staropolski pan, 12. tkanina z Torunia, 13. nagniotek, czasem bolesny, 15. metalowy wyrób, w domu służy do pieczenia ciasta, 17. namawianie, nakłanianie, 18. ptak towny o pięknym ubarwieniu, 19. wysokie drzewo liściaste, 20. gryzoń, zamieszkujący stare domy i kanały ciekowe, 21. rodzicielka, 24. śpiewające trzy osoby, 26. ciastko z ubitego białka, 28. lek przeciwmiażdżycowy stosowany w chorobie wieńcowej, 29. pogoda, 30. biała szata liturgiczna, 31. dlaży krewny, powinowaty.

PIONOWO:

1. elementy zespawane, znitowane, 2. wosk z knotem w środku, 3. orszak ślubny, świta, 4. syn naszego syna, 5. do siatkówki i śmieci, 6. szatan w szklance, 7. koniec pacierza, 8. nauka o życiu i obyczajach ptaków, 9. osoba oskarżająca, 13. wierzchnia szata liturgiczna, 14. zabezpieczenie okna, 15. mały chłopiec, 16. gra na deskach w teatrze, 21. do wbijania gwoździ, 22. pracuje przy obrabiarce, 23. służy do zmywania lakieru z paznokci, 24. ojciec, 25. praca przed sieciem, 26. piastunka dzieci, 27. okręt Noego.

STANGAR

Wśród Czytelników, którzy do dnia 31 grudnia nadesłali na adres redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

PIERWSI LEKARZE

1945-1950

Tradycja ubezpieczenia chorobowego w Zielonej Górze sięga lat trzydziestych XIX wieku. Tworzone były wówczas pierwsze kasy chorych dla czeladników poszczególnych rzemiosł. W 1856 roku działało na terenie miasta 10 czeladniczych kas chorych oraz dwie kasy chorych robotników fabrycznych. Z czasem system ubezpieczeń został ujednolicony w taki sposób, że w okresie międzywojennym w Zielonej Górze działały już tylko dwie powszechne kasy chorych.

W pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej siły polityczne pod kierownictwem Polskiej Partii Robotniczej wykazały w sprawach ochrony zdrowia większą tolerancję, godząc się na utrzymanie leczenia społecznego i wolnych praktyk lekarskich. Podstawowym problemem był wówczas dotkliwy brak kadr medycznych, zwłaszcza na ziemiach zachodnich.

W zakresie opieki medycznej utrzymane zostały w mocy akty prawne ogłoszone przed 1939 rokiem. W szczególności zaś Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej: z 1928 roku o zakładach leczniczych, z 1932 roku o wykonywaniu praktyki lekarskiej oraz ustawa z 28 marca 1933 roku o ubezpieczeniu społecznym. W ten sposób rozciągnięte zostały na teren ziem zachodnich zasady organizacji ochrony zdrowia, jakie obowiązywały w Polsce przed wojną. Podstawowa opieka zdrowotna opierała się głównie na pracy lekarzy wolno praktykujących i świadczących swoje usługi na rzecz Ubezpieczalni Społecznych. Świadczenia szpitalne były natomiast odpłatne, z tym, że w większości przypadków koszty pobytu pacjentów w szpitalach refundowały Ubezpieczalnia Społeczna lub władze lokalne.

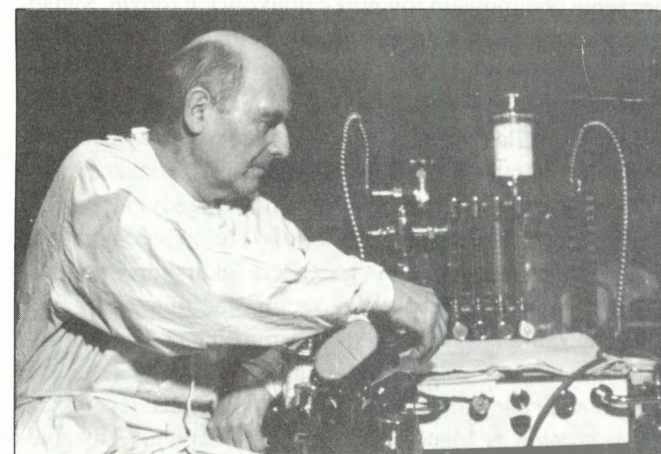
Objęcie władzy w Zielonej Górze przez polską administrację w dniu 6 czerwca 1945 roku otworzyło drogę do zasiedlenia miasta przez ludność polską. Od 24 czerwca do 15 lipca 1945 roku liczba Polaków w mieście wzrosła z 566 do 1162 osób. W tym czasie nie było w Zielonej Górze stałego polskiego gabinetu lekarskiego. Dwa razy w tygodniu przyjeżdżał tutaj lekarz z Leszna.

Pierwszymi lekarzami, przybyłymi do Zielonej Góry z zamiarem osiedlenia się byli Tadeusz i Wanda Serafińscy. W zielonogórskim Biurze Ewidencji Ludności zameldowali się w dniu 25 lipca 1945 roku. Oboje przed wojną mieszkali i pracowali w Warszawie. Dr Wanda Serafińska rozpoczęła pracę w Klinice Chorób Skórnych i Wewnętrznych i kontynuowała ją później w Ubezpieczalni Społecznej, a dr Tadeusz Serafiński zatrudniony był w III Klinice Chorób Wewnętrznych w Warszawie. Po upadku powstania warszawskiego oboje musieli opuścić stolicę. W trakcie wojny uległ spaleni dom, w którym mieszkali i fakt ten skłonił ich do poszukiwania nowego miejsca zamieszkania na ziemiach zachodnich. Pobyt w Zielonej Górze rozpoczęli od urządzenia mieszkania i gabinetu lekarskiego. Wprowadzi-

li się do mieszkania przy ul. Żeromskiego (nad PKO), które przed wojną należało do lekarza Maksymiliana Markwiza. i było wyposażone w podstawowe meble niezbędne do urządzenia gabinetu lekarskiego. Oboje przyjmowali w nim pacjentów na zmianę.

Zarówno oni jak i kolejni przybyli do miasta w 1945 roku lekarze: Józef Bieniarz, Kazimierz Krajewski, Władysław Pręgowski, dr Albin Racinowski, Tadeusz Staniewicz, Maria Szatkowska i dr Józef Tymiški podjęli również pracę w Szpitalu Powiatowym lub w Powiatowym Ośrodku Zdrowia. Szpital Powiatowy rozpoczął działalność w dniu 10 sierpnia 1945 roku, nosił on wówczas nazwę Lecznicy Powiatowej i mieścił się przy ul. Stalina 3/4 (Al. Niepodległości). Kierował nim początkowo dr Józef Tymiški, a od maja 1946 roku dr Zbigniew Pieniężny. Szpital posiadał cztery oddziały - wewnętrzny, chirurgiczny, zakaźny i ginekologiczno-położniczy.

Kolejną placówką medyczną, która została uruchomiona w październiku 1945 roku pod kierownictwem Lekarza Powiatowego Kazimierza Krajewskiego, był Powiatowy Ośrodek Zdrowia. Znajdowały się w nim: Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem, Poradnia dla kobiet ciężarnych, Pora-



Dr Zbigniew Pieniężny – ordynator szpitala w Zielonej Górze w 1946 r.

dnia przeciwjaglicza, Poradnia przeciwgruźlicza, Poradnia przeciwweneryczna, Gabinet rentgenowski, Laboratorium i Dział sanitarny (nadzór nad żywnością i stanem sanitarnoporządkowym). W lipcu 1946 roku uruchomiony został przez Kongregację Zakonu Sióstr Elżbietanek Szpital przy pl. Powstańców Wielkopolskich. Kierował nim dr Albin Bandurski.

Podstawowa opieka medyczna spoczywała w tym czasie w rękach lekarzy wolno praktykujących. Dopiero w maju 1946 roku uruchomiono w Ośrodku Zdrowia ogólne ambulatorium, z którego mogły korzystać osoby nie ubezpieczone i mniej zamożne.

Ważnym wydarzeniem w rozwoju lecznictwa otwartego było utworzenie w dniu 10 października 1945 roku Oddziału Ubezpieczalni Społecznej w Zielonej Górze. Nadzór nad jej organizacją sprawował Gracjan Daszkiewicz - Komisarz Organizacyjny Ubezpieczeń Społecznych Ziemi Lubuskiej i zarazem dyrektor Ubezpieczalni Społecznej w Poznaniu. Dyrektorem Ubezpieczalni w Zielonej Górze został Kazimierz Małecki, a funkcję naczelnego lekarza i kierownika Wydziału Lecznictwa objął lekarz Marian Mielnik, przybyły do Zielonej Góry w październiku 1945 roku z Czortkowa w województwie tarnopolskim. Wydział Lecznictwa zajmował się nadzorem i organizacją lecznictwa specjalistycznego, skierowaniami do szpitali i sanatoriów. Zajmował się on także kontrolą aptek oraz kontrolą rachunków za leczenie w szpitalach i pobyt w sanatoriach. Okręg działalności Ubezpieczalni obejmował w latach 1945-1947 powiaty: zielonogórski, krośnieński, gubiński, i świebodziński. W lipcu 1947 roku został on powiększony o dalsze dwa powiaty: kozuchowski i żarski.

Podstawy finansowe Ubezpieczalni w zakresie ochrony zdrowia stanowiły wyłącznie składki za ubezpieczenie na wypadek choroby i macierzyństwa (tzw. ubezpieczenie chorobowe). Wysokość składki chorobowej wynosiła 5% za ubezpieczenie robotników, 4,6% za ubezpieczenie pracowników umysłowych i 3,5% za ubezpieczenie pracowników państwowych. Całość składki pokrywał pracodawca, a jej wysokość była uzależniona od rzeczywistych zarobków pracowników. W 1947 roku na terenie Zielonej Góry i powiatu ilość ubezpieczonych wynosiła 11.977 osób. Ubezpieczenie obejmowało również członków ich rodzin. Świadczenia lecznicze na wypadek choroby i macierzyństwa obejmowały: opiekę lekarską, pomoc położnych, lekarstwa i środki opatrunkowe, leczenie szpitalne, leczenie sanatoryjne i akcje profilaktyczne. Ubezpieczalnia rozpoczynała działalność posiadając do dyspozycji zaledwie 15 lekarzy.

Ubezpieczalnia Społeczna zawierała z każdym lekarzem umowę o pracę, w której określony był rejon jego działania oraz wymiar czasu pracy w gabinecie lekarskim i podczas wizyt domowych. W początkowym stadium organizacji Ubezpieczalni, kiedy nie dysponowała ona jeszcze własnymi środkami finansowymi ani własną przychodnią, lekarze przyjmowali pacjentów we własnych gabinetach lekarskich. Jak wspomina dr Józef Kwaśniewicz, pracownik Ubezpieczalni w latach 1946-1950, do czasu wdrożenia systemu poboru składek ubezpieczeniowych lekarze świadomie godzili się na pracę bez wynagrodzenia, kierując się społeczną potrzebą udzielania pomocy potrzebującym.

Do grona pierwszych lekarzy ogólnych Ubezpieczalni, określanych mianem lekarzy domowych, należeli w Zielonej Górze na początku 1946 roku lekarze: Józef Bieniarz, Kazimierz Krajewski, Marian Mielnik, Władysław Pręgowski i Tadeusz Staniewicz. Do grona lekarzy domowych należał również dr Tadeusz Serafiński - specjalista chorób wewnętrznych. Z Ubezpieczalnią współpracowali również lekarze specjaliści. Należeli do nich między innymi: Wanda Serafińska i Albin Racinowski - specjaliści chorób skórnych i wenerycznych, Maria Szatkowska - specjalista chorób kobiecych, dr Aleksandra Totwen - specjalista chorób oczu.

W końcu 1947 roku obsada kadrowa uległa znacznej poprawie, lecz mimo to daleka była jeszcze do doskonałości. Ubezpieczalnia zatrudniała wówczas 53 lekarzy, w tym: 28 lekarzy domowych, 14 lekarzy specjalistów i 11 lekarzy dentyków. Najlepsza sytuacja pod względem ilości kadr medycznych panowała w Zielonej Górze, gdzie Ubezpieczalnia Społeczna korzystała w końcu 1947 roku z usług 7 lekarzy domowych, 8 lekarzy specjalistów i 3 lekarzy dentyków. W stosunku do ówczesnych potrzeb miasta, według ocen Ubezpieczalni brakowało: 2 lekarzy domowych, 1 lekarza laryngologa, 1 lekarza chorób dziecięcych i 1 rentgenologa. W tym czasie Ubezpieczalnia dysponowała już własną przychodnią mieszczącą się w budynku przy ul. Stalina 10 (na rogu Al. Niepodległości i ul. Bankowej), w której uruchomione zostały gabinety: rentgenowski, dentystyczny i fizykolecniczy. W lipcu 1947 roku Ubezpieczalnia zorganizowała własną aptekę w Rynku (Pod Filarami), którą kierował początkowo prowizor farmacji Antoni Owsiany.

Lekarze domowi ubezpieczalni udzielili w 1947 roku ogółem 120.888 porad, z czego 115.326 w gabinetach i ambulatoriach oraz 5562 w trakcie wizyt domowych. Niezwykle ważna dla kobiet w ciąży była wówczas pomoc dyplomowanych akuserek. W 1947 roku udzieliły one ogółem 1095 porad przy porodach w domu. W Zielonej Górze pracowało wówczas 13 akuserek. Oprócz tego wiele kobiet ciężyźnych odbywało porody w szpitalach.

W tym samym roku Ubezpieczalnia Społeczna wydała 4762 skierowań na leczenie szpitalne. Do Szpitala Powiatowego w Zielonej Górze skierowanych zostało 1528 chorych a do Szpitala SS Elżbietanek - 682 osoby. Ubezpieczalnia pokrywała w całości koszty pobytu pacjentów w szpitalach, które były bardzo zróżnicowane i wahały się w granicach 200-550 zł dziennie.

Lecznictwo zorganizowane przez Ubezpieczalnię Społeczną zostało upaństwowione na początku lat 50-tych. Wstępem do likwidacji wolnych praktyk lekarskich było Rozporządzenie Ministra Zdrowia z dnia 23 kwietnia 1949 roku o obowiązku pracy lekarzy w wymiarze 42 godzin tygodniowo w uspołecznionych zakładach służby zdrowia. Placówki opieki zdrowotnej należące dotąd do zakładów pracy, gwarectw górniczych, organizacji społecznych, ubezpieczeniowych i wyznaniowych, zostały przejęte przez utworzony w 1950 roku Zakład Lecznictwa Pracowniczego. Jak odnotowano w jednym ze sprawozdań Wydziału Zdrowia Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, instytucja lekarza domowego - „pozostałość z czasów przedwojennych” - została w województwie zielonogórskim ostatecznie zlikwidowana w latach 1950-1951.

Po wielu latach powraca się do koncepcji ubezpieczenia zdrowotnego. Dlatego też godne są upamiętnienia bezinteresowności i ogromny wkład lekarzy w organizację ochrony zdrowia w Zielonej Górze w pierwszych powojennych latach. Stwarzały one poczucie bezpieczeństwa osiedlającej się ludności oraz miały znaczący wpływ na poprawę jej zdrowia.

Zbigniew Bujkiewicz



Z przebogatej kolekcji starych i nowych fotografii Zielonej Góry Leszka Krutulskiego-Krechowicza prezentujemy pierwsze trzy zdjęcia z widokiem kamienic przy rynku u wylotu ulicy Sobieskiego. Pierwsza fotografia wykonana została na początku XX w. W budynku, gdzie dziś jest sklep z pamiątkami, mieścił się wówczas hotel „Pod trzema Murzynami”. Na drugim zdjęciu z lat dwudziestych w miejscu hotelu znajdował się sklep nabiałowy. Ostatnie zdjęcie, przedstawia współczesny wygląd tej części rynku. W sąsiedniej kamienicy mieścił się przed wojną sklep spożywczy Maxa Seidela.



KUPON – MOŚCI PANOWIE!

40 LAT „TOTALIZATORA SPORTOWEGO”

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO „TOTALIZATOR SPORTOWY” ZOSTAŁO POWOŁANE DO ŻYCIA PRZEZ PRZEWODNICZĄCEGO GŁÓWNEGO KOMITEU KULTURY FIZYCZNEJ NA PODSTAWIE UCHWAŁY PREZYDIUM RZĄDU NR 1010 Z DNIA 17 GRUDNIA 1955 R. BYŁO TO WYJŚCIE NAPRZECIW POTRZEBOM SPOŁECZNYM TAKŻE W DZIEDZINIE SPORTU. UCHWAŁA PRZEWIDYWAŁA SKIEROWANIE CZĘŚCI DOCHODÓW PRZEDSIĘBIORSTWA Z ZAKŁADÓW PIŁKARSKICH NA FINANSOWANIE BUDOWNICTWA I KAPITAŁNE REMONTY OBIEKTÓW I URZĄDZEŃ SPORTOWYCH.

Wkrótce przystąpiono do druku kuponów zawierających zestawienie 12 par zespołów I i II ligi inauguracyjnych rozgrywek ligowe 18 marca 1956 roku. Składało się je w urzędach pocztowych. Grający naklejali specjalne znaczki stanowiące dowód opłaty zakładów, wynoszącej 2 zł za jeden zakład. Na kuponie znajdowały się rubryki do zawarcia 5-ciu zakładów.

To właśnie przypomina sobie p. Maria Gołębiowska, wtedy dwudziestoparoletnia dziewczyna poszukująca pracy: w urzędzie na Placu Pocztowym w Zielonej Górze podłoga zarzucona była niewykorzystanymi kuponami. Była w tym podpowiedź: została jedną z pierwszych pracownic organizującego się tutaj wkrótce Oddziału Wojewódzkiego P.P. „Totalizator Sportowy”. Ten piłkarski Totek cieszył się rosnącym powodzeniem. Już w pierwszym losowaniu było trzynaście bezbłędnych rozwiązań, za które płacono po 41.000 zł i 297 z jednym błędem po 1.200 zł. Grający otrzymali w sumie 884.448 zł a na fundusz budownictwa sportowego przekazano taką samą sumę.

Przedsiębiorstwo zachęcone powodzeniem totalizatora sportowego wprowadziło od 25 stycznia 1957 r. nową grę pod nazwą „Toto-Lotek”, polegającą na skreśleniu 6 trafnych liczb z 49 zamieszczonych na kuponie. Dochody z Totka, w tym również wygrane, zaczęły rosnąć z miesiąca na miesiąc. Wymuszało to wzrost liczby kolektur Totalizatora. W Zielonej Górze pierwsze z nich znalazły się przy ul. Pionierów (dziś Kupiecka) - prowadziła ją p. Kazimiera Szurkowska, przy ul. Niepodległości - p. Łucja Fijałkowska oraz w jednej z kas kina letniego „Warszawa” przy ul. Chopina, gdzie przez krótki czas pracowała p. Maria. Potem przez kilka lat p. Gołębiowska prowadziła kolekturę nr 5 przy ul. Westerplatte 11 (mieści się tam teraz budynek „Topazu”). To właśnie tutaj, w połowie lat sześćdziesiątych, padła pierwsza w Zielonej Górze „szóstka”. Szczęśliwcem okazał się pewien majster budowlany, który dowiedziawszy się że wygrał „milion” przyszedł do kolektury z mocno demonstrowanymi pretensjami, bowiem okazało się, że faktycznie wygrana wyniosła „tylko”

996 tys. zł. Sen o milionie nie spełnił się. A swoją drogą, w tamtych czasach były to duże pieniądze. Wieść o wygranej rozeszła się i kolektura nr 5 przez długi czas miała swoich wiernych graczy, którzy grali tutaj, również z powodzeniem, systemowo.

Zgodnie z porzekadłem, iż apetyt rośnie w miarę jedzenia, tu trzeba dodać apetyt umiejętnie podsycany, gdyż uciekano się już wtedy do zróżnicowanych form reklamy, głównie w radio i w prasie, zwiększały się obroty „Totka”. W szarym gomułkowskich lat sześćdziesiątych i małej stabilizacji, kiedy nawet rower mógł być przedmiotem marzeń, rosła w ludziach chęć posiadania. Jak mogli nie wierzyć znanemu wtedy fraszkopisowi Józefowi Prutkowskiemu, który dawał taką receptę:

Recepta

*Sprawa jest niezbyt zawiła
Dziecinnie łatwa algebra
Na troje babka wróżyła:
Remis czy wygra czy przegra
Z recepty każdy się dowie
Jakie są proste sposoby
Kupon mości panowie!
Jak pisał twórca Zagłoby.
W ten kupon wpisz to jedynie:
(oto recepta cała)
Wygrana zwycięskiej drużynie
Przegrana tej co przegrała
Gdy remis paść ma pojutrze
Wtedy wpisz remis do środka
Wierz mi, to nie jest najgłupsze
Tak właśnie wygrywa się w totka.*

Najwyraźniej pomogło, gdyż już od 1 października 1972 r. wprowadzone zostało podwójne losowanie „Toto-



1958 rok. Szczęśliwa „piątka”, w której później padła pierwsza główna wygrana. Za biurkiem p. Maria Gołębiowska.

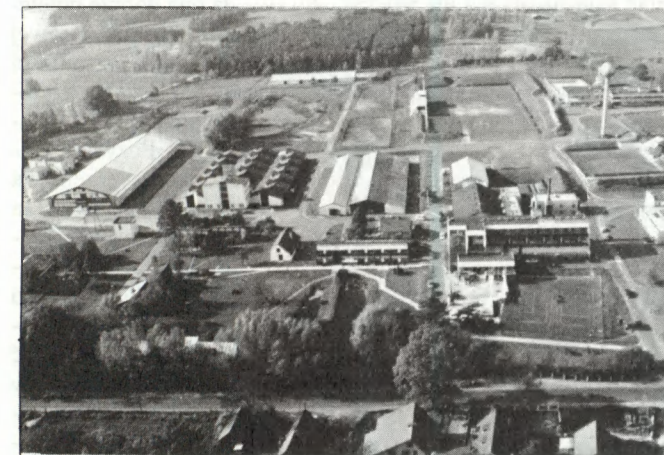
Lotka”. Początkowo tylko w dwie pierwsze niedziele, zaś od listopada 1972 r. podwójne losowania odbywały się w każdą niedzielę. 15 sierpnia 1973 r. odbyło się pierwsze losowanie „Małego-Lotka”, w którym grający skreślają 5 z 35 liczb. We wrześniu 1975 r. nastąpiły zmiany w regulaminie gier liczbowych i „Toto-Lotek” przyjął nazwę „Dużego-Lotka”, do którego w 1976 r. doszedł jeszcze „Express-Lotek”. Przedsiębiorstwo, uwzględniając stale rosnące życzenia grających, wprowadziło 6 dodatkowych zakładów specjalnych w ciągu roku, cieszących się ze względu na atrakcyjne nagrody dużym powodzeniem.

Wszystko to oznaczało rosnące z roku na rok dochody Totalizatora, z których ok. 20 proc. przeznaczano na cele sportowe. Dość powiedzieć, że w ciągu pierwszych trzydziestu lat działalności P.P. „Totalizator Sportowy” wpływy z gier liczbowych i zakładów piłkarskich wyniosły blisko 90 mld zł. Z kwoty tej 47 mld otrzymali grający za trafne odgadnięcie wyników zakładów w postaci wygranych pieniężnych i dodatkowych nagród rzeczowych a za 27,5 mld zł wybudowano lub zmodernizowano około 1300 obiektów sportowych. Były wśród nich m.in. hala sportowa w Katowicach, poznańska Arena, 50-metrowy kryty basen w Oświęcimiu, ośrodek szkolenia sportowego w Zakopanem, sztuczne lodowiska w Poznaniu, Nowym Targu, Sosnowcu, Krośnie, a także nasz piękny ośrodek Pięcioboju Nowoczesnego i Jeździectwa w Drzonkowie, nad którym teraz jakby mniej świeciło słońce. Dodać do tego trzeba jeszcze inwestycje na rodzimym gruncie, takie jak np. stadion żużlowy w Zielonej Górze, hala i basen Nowity, MOSiR przy ul. Wyspiańskiego, stadion przy ul. Sulechowskiej uzbrojony w tartanową bieżnię produkcji nieistniejącego już zielonogórskiego „Pol sportu”.

A liczne stadiony, boiska, hale sportowe, baseny w wielu lubuskich miastach, miasteczkach i na wsiach? Zrealizowane też kosztem miliardów zł. Jak twierdzi dyr. **Bernard Ptaszyński**, od wielu lat kierujący Oddziałem Wojewódzkim P.P. Totalizator Sportowy w Zielonej Górze, w latach dziewięćdziesiątych nastąpiło zdynamizowanie działalności Przedsiębiorstwa, jego modernizacja, a także w znacznym już stopniu prywatyzacja. Symbolem tych zmian są wprowadzone kilka lat temu lottomaty. Już nie trzeba mozolnie skreślać na kuponach typowanych liczb. Wybiera je automatycznie lottomat, mający połączenie z komputerem-matką w centrali. W nim kodowane są w każdym zakładach dane z kuponów z terenu całego kraju do momentu losowania. Nietrudno zauważyć, że zmieniła się też technika losowania, która uległa skróceniu. Piłeczki z wylosowanymi cyframi wydmuchiwane są w maszynie losującej (w liczbie 6 lub 5) przy pomocy sprężonego powietrza. Zdecydowały koszty przekazu telewizyjnego. Wielu totkowiczów narzeka jednak, że nie ma już takich emocji w trakcie losowania. Dlatego wyniki losowania w „Multilotku”, najmłodszej grze Totalizatora, w którym można wygrać nawet 10 mld zł (losowania odbywają się 4 razy w tygodniu) ustalone są w tej starej maszynie. Wydłuża to jednak czas losowania, bo losuje się aż 20 liczb. Myśli się więc o konstrukcji nowej maszyny losującej, a także o wprowadzeniu nowych rodzajów gier jak np. „toto-hipka” (wspólnie z Polsatem), w którym można by obstawiać wyniki zawodów hippicznych na Służewcu. Powoli moder-

nizuje się też sieć punktów kolektorskich (już widać nowe eleganckie kioski), wprowadza się je do sieci handlowej, sklepów, butików, kawiarni. W tych ostatnich, przynajmniej niektórych, będzie można pijąc kawę zagrać w telebingo.

A perspektywa? W niezbyt odległej przyszłości będzie można zagrać w totka, korzystając z sieci internetu. Ważne jest jednak to, że zwiększając obroty Przedsiębiorstwa, jego zyski, zwiększać się będą środki na pulę nagród, dotacje na działalność organizacji i instytucji w rodzaju Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Polskiego Związku Piłki Nożnej, na fundusz niepełnosprawnych i inne inwestycje. W ubiegłym roku przekazano na te cele ponad bilion zł! Jest to poważne wsparcie dla skromnych nadal środków państwowych i samorządowych. Bo na kapitał prywatny w tej dziedzinie je-



Ośrodek Pięcioboju Nowoczesnego i Jeździectwa w Drzonkowie. Widok z lotu ptaka.

Fot. Tomasz Gawłkiewicz

szcze nie można liczyć. Doświadczenia z prezesem Morawskim tę konstatację potwierdzają.

W przyszłym roku P.P. „Totalizator Sportowy” obchodzić będzie 40-lecie swego istnienia. Z tej okazji przygotowuje się wiele atrakcji dla grających. Ale już w tym roku trzeba odnotować 1112 głównych wygranych w różnych grach i zakładach, w tym 180 szczęśliwców, którzy wygrali powyżej miliarda starych zł każdy. Była wśród nich p. Agnieszka Gębka z Mysłowic, która swój miliard wygrała w konkursie zorganizowanym przez „Totalizator Sportowy” wspólnie z „Latem z Radiem”.

A co na 40-lecie? Już od 11 września br. każda „szóstka” w Dużym Lotku premiowana jest Lotto Małuchem. Małuchów tych jest 40! W Mikołajkowych Zakładach Specjalnych w dniu 7 grudnia nagrodą będzie atrakcyjny dom z działką na osiedlu domów jednorodzinnych Brzeziny w Warszawie-Choszczówce, zaś w Zakładach Specjalnych w dniu 27 stycznia 1997 r. główną nagrodę stanowić będzie 40 sztabek złota i do tego jeszcze jedna willa w Warszawie. W głowie się kręci...

Więc co? Jak radził Józef Prutkowski: k u p o n mości panowie i panie!

Stanisław Deresz

Regionalny program nauczania historii

Minęło ponad 50 lat życia Zielonej Góry jako miasta polskiego. Dla pionierów polskiego osadnictwa z lat 1945-1947 była miejscem przesiedlenia, celem wymuszonych wojną migracji, choć z czasem została przez większość z nich zaakceptowana jako nowe miejsce do życia. Dla kilku już pokoleń, ich dzieci i wnuków, stało się ono miejscem urodzenia, naturalną „małą ojczyzną”. Co należy robić, aby młodych zielonogórzan wiązać z nią emocjonalnie, aby najnowszą i dawną historią miasta i regionu nie była dla nich „białą plamą”? Jak wykorzystać nagromadzoną już wiedzę, aby służyła ona dobrze pojętemu „patriotyzmowi lokalnemu”, tzn. budowaniu miejscowej tożsamości, rozumianej jako fragment zbiorowej tożsamości Polski i, w coraz większym stopniu, Europy. Włączenie Zielonej Góry wraz z innymi miastami do Euroregionu Sprewa-Nysa-Bóbr otwiera tu nowe perspektywy i możliwości. Pozwala spojrzeć na tradycje regionalne i lokalne bez niebezpieczeństwa popadania w zaściankowość i ciasny partykularyzm. Stwarza natomiast szansę promocji tego, co jest w naszym regionie najbardziej wartościowe i charakterystyczne. Zdaniem Władysława Korcza, przy nowoczesnym rozumieniu regionalizmu jego uprawianie nie zagraża „...zamknięciem się w ciasnych opłotkach spraw małych, nieistotnych, nie mogących wywierać wpływu na poszerzenie horyzontów... Przecież nikt nie żyje... w całym kraju, nikt nie ma bezpośredniej styczności z całym narodem”, natomiast wszyscy są jakoś zakorzenieni w swoim środowisku, na określonym terytorium. Zaś Hieronim Szczegółka zauważa: „Polskie miasta i regiony zdążają do Europy, a Europa lokalna, to Europa samorządowa, dbająca także o popularyzację swego regionu, miasta, wsi”.

Poznanie dziejów „małej ojczyzny”, podobnie jak historii w ogóle, odbywa się na wielu płaszczyznach i w różnych formach. Są to przekazy rodzinne, lektura artykułów i książek, słuchanie i oglądanie audycji lokalnego radia i telewizji. W ostatnim czasie mamy już w tej dziedzinie całkiem spory wybór. Weryfikować i systematyzować tę wiedzę powinna jednak szkoła.

Idea wykorzystywania wiedzy z dziejów regionu w nauczaniu historii w szkole nie jest w Zielonogórskim rzeczą nową. Jej prekursorem jest prof. Władysław Korcz, a w jego ślady poszli m.in. dzisiejsi wykładowcy akademicki: Hieronim Szczegółka, Joachim Benyskiewicz, Kazimierz Bartkiewicz i wielu nauczycieli. Nawiązując do tych doświadczeń, zespół historyków z Wyższej Szkoły Pedagogicznej (Bogumiła Burda, Dariusz Dolański, Jarosław Dudek, Tomasz Nodzyński, przy współpracy metodycznej Piotra Ługowskiego), postanowił w 1993 r. stworzyć autorski program nauczania historii w szkołach średnich na Środkowym Nadodrzu. Bezpośrednim inspiратorem tego zamierzenia był ówczesny dyrektor tworzącego się Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 (SP nr 10 i LO nr 6), w zamierzeniu mającego profil regionalny, Władysław Korcz (jr.).

Zespół autorów stanął przed niełatwym zadaniem. Region Środkowego Nadodrza w dzisiejszym kształcie i rozumieniu, przez wiele stuleci (od XIII do XVIII) nie tworzył jednolitości politycznej i gospodarczej. Podzielony był między Polskę, Czechy i państwo Habsburgów, Brandenburgię - Prusy, Saksonię. Odpowiadały tym podziałom różnorodne wpływy językowe, kulturalne i religijne. Utrudnia to określenie granic

regionu na przestrzeni tysiąclecia i zmusza do uwzględniania wielu wątków w próbie syntezy jego dziejów. Z drugiej strony jednak daje szansę wykorzystania bogatego, wielokulturowego dziedzictwa nadodrzańskiego pogranicza jako części Europy Środkowo - Wschodniej. Kierując się takim przesłaniem, podzielono każdą jednostkę tematyczną na 3 elementy, zawierające kolejno: historię powszechną (przede wszystkim europejską), historię Polski oraz historię regionalną.

Dołożono dużych starań, aby powiązania między tymi elementami były naturalne, niewymuszone, dając nauczycielowi i uczniom odpowiednią skalę i perspektywę omawianych zagadnień. I tak np. poznawanie zjawiska reformacji w XVI w. zakłada jego przedstawienie w Niemczech i innych karajach zachodnich, na Śląsku - w Głogowie, Żaganiu, Zielonej Górze itp., wreszcie w Rzeczypospolitej. Mechanizmy rozpoczętej w Anglii w XVIII w. rewolucji przemysłowej można zgodnie z programem przedstawiać na przykładzie powstania i przekształceń fabryk w Żarach, Nowej Soli, Zielonej Górze i innych miastach Środkowego Nadodrza, wspominając o emigracji tutejszych sukienników do Królestwa Polskiego w XIX w. Mówiąc o zbrodniach hitlerizmu program odnotowuje liczne ich przykłady na terenie obecnych województw gorzowskiego i zielonogórskiego. W ten sposób fakty z historii regionu funkcjonują zawsze w szerszym kontekście, w związkach z historią europejską i polską. W intencjach autorów ma to służyć tworzeniu silnych, emocjonalnych związków uczniów z ziemią rodzinną, ale zarazem ukazywać, iż jest ona częścią większej całości historycznej i kulturowej, do której wnosi swą skomplikowaną tożsamość.

Próbę realizacji programu podjęto na razie w trzech zielonogórskich liceach. Nie była ona łatwa, gdyż wkomponowanie na stałe elementów regionalnych do praktyki nauczania zgodnie z literą programu wymagało położenia większego nacisku na zagadnienia, które w minimum programowym Ministerstwa Edukacji Narodowej często potraktowane są marginalnie, np. dzieje Śląska, Ziemi Lubuskiej, Łużyc, Czech, Węgier, monarchii Habsburgów, Brandenburgii-Prus, Saksonii, bez pominięcia zarazem najważniejszych wydarzeń z dziejów Polski i powszechnych. Prezentując te treści zgodnie z duchem programu uniknięto, jak sądzę, nadmiernej regionalnej „specjalizacji”, która mogłaby być wręcz szkodliwa na maturze czy podczas egzaminów wstępnych na studia. Wykorzystano natomiast wiele elementów historii regionalnej dla ilustrowania i objaśniania skomplikowanych zjawisk i pojęć historycznych. Dużym uatrakcyjnieniem lekcji, wpływającym korzystnie na skuteczność nauczania, były wycieczki dydaktyczne, m.in. do Muzeum Archeologicznego w Świdnicy, Skansenu w Ochli, Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Muzeum Książki Środkowego Nadodrza w Bibliotece Wojewódzkiej i do innych miejsc. Dawało to możliwość żywego łączenia wątków regionalnych i ogólnych. Inną formą zainteresowania uczniów dziejami regionu, a szczególnie Zielonej Góry, stał się organizowany w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 1 przy ul. L. Zamenhofa konkurs „Wiem wszystko o Zielonej Górze”, którego zwycięzcy musieli się wykazać nie małą wiedzą, czerpaną m.in. z książki Władysława Korcza, Joachima Benyskiewicza, Hieronima Szczegółki, Jerzego Piotra Majchrzaka. W tym roku szkolnym, przy współudziale Prezydenta i Urzędu Miasta, konkurs ten ma stać się imprezą międzyszkolną.

Prawie już 4-letnia próba realizacji regionalnego programu nauczania historii zyskała zainteresowanie władz miasta. Podjęto przygotowania do jego opublikowania i upowszechnienia. Opracowywany jest także odpowiedni program dla szkół podstawowych.

Tomasz Nodzyński

50-LAT PTTK W ZIELONEJ GÓRZE

W dniu 20 maja 1946 r. w Ratuszu Zielonogórskim odbyło się spotkanie osób ciekawych przeszłości i walorów turystyczno-krajoznawczych Ziem Odzyskanych, a w szczególności Zielonej Góry i okolic. W spotkaniu tym uczestniczyli m.in.: Stanisław Błaszczuk - nauczyciel, Alfons Bogaczuk - księgarz, Stanisław Krzysik - nauczyciel, Eugenia Łychowska - kierownik Muzeum Miejskiego, Helena Mączewska - pracownik Wytwórni Wódek, Stefan Pachucki - nauczyciel, Tomasz Sobkowiak - burmistrz, Karol Pstruszeński - dyr. Wytwórni Wódek. Zebrani postanowili utworzyć koło Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, przyjmując program: poznanie i popularyzacja historii zabytków Zielonej Góry i okolic, adresowany głównie do mieszkańców miasta. Już we wrześniu tego roku powstał samodzielny Oddział. Prezesem została Helena Mączewska, inicjator utworzenia w Zielonej Górze organizacji krajoznawczej.

W latach czterdziestych organizowano wiele wycieczek po mieście i okolicach, zwracając szczególną uwagę na walory turystyczno-krajoznawcze. Ponadto szkolono przewodników turystycznych, wydawano przewodniki, a także organizowano Dni Winobrania.

W tym czasie czynnie działali w organizacji m.in.: Józef Kamiński, Eugenia Łychowska, Helena Mączewska, Stefan Pachucki, Józef Piszczek, Adolf Sokolski.

Po powstaniu województwa zielonogórskiego i zjednoczeniu organizacji turystycznych pod nazwą Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze nastąpił (po 1950 r.) jego dynamiczny rozwój. Przybywający do Zielonej Góry z nakazami pracy absolwenci szkół i uczelni zasilali organizację wnosząc dużo ciekawych inicjatyw i doświadczeń turystycznych z innych regionów kraju. Powstały nowe koła m.in. przy Banku Wojewódzkim, Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, Wojewódzkim Zjednoczeniu Przemysłu Terenowego, Zielonogórskim Zarządzie Aptek oraz

komisje turystyki kwalifikowanej: górską, pieszą, narciarską, kajakową i kolarską.

Turyści z Zielonej Góry uczestniczyli w licznych ogólnopolskich i zagranicznych imprezach turystyki kwalifikowanej.

Do największych osiągnięć tego okresu należą jednak organizowane przez PTTK w Zielonej Górze rajdy, spływy i złoty zasięgu wojewódzkim, a nawet krajowym. Były to wiosenne i jesienne złoty górskie w Sudetach i Beskidach, nizinne rajdy narciarskie po Ziemi Lubuskiej, spływy kajakowe Lubuskim Szlakiem Wodnym, wojewódzkie i międzywojewódzkie rajdy i złoty turystyki pieszej.

Poza działalnością w zakresie turystyki kwalifikowanej, aktywnie prowadzono działalność krajoznawczą polegającą na ochronie zabytków i przyrody, wydawaniu przewodników, a także szkoleniu przewodników turystycznych.

W dużym stopniu miejska organizacja przyczyniła się do powstawania na terenie województwa wielu Oddziałów PTTK. Do najbardziej aktywnych organizatorów imprez i przedsięwzięć krajoznawczych należeli: Zenon Garduła, Józef Jarmołowicz, Władysław Korcz, Janusz Krauze, Jerzy Łatwiński, Krystyna Ostafińska, Roman Mazurkiewicz, Helena Mączewska, Marcei Najder, Andrzej Netzel, Henryk Stawski i Stefan Pachucki.

W latach 40-tych i 50-tych prezesami Oddziału w kolejności byli: Helena Mączewska, Zenon Garduła, Jerzy Łatwiński, Izabela Wielgorz, Dobromir Drozdowski i Marian Długosz.

Dalsze lata działalności pozwoliły na utrwalenie struktury organizacyjnych oraz rozszerzenie i pogłębienie założeń programowych. Nastąpiła zmiana pokoleń działaczy, odeszli starsi, przyszli młodszy. Dorobek lat 60-tych i późniejszych jest częściowo znany. Jest to jednak temat na odrębną informację.

Poznajemy okolice Zielonej Góry

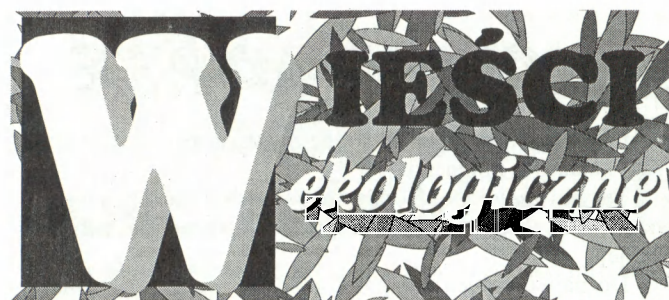
Roztocze Buchałowskie - stanowi część Wału Zielonogórskiego, obejmuje teren o powierzchni około 20 km² między Słonem, Wilkanowem, Świdnicą i Buchałowem. Roztocze jest bardzo ciekawe pod względem ukształtowania terenu. Liczne wzniesienia, dochodzące do 30 m wysokości względnej, stwarzają wrażenie krajobrazu podgórskiego. Najwyższym wzniesieniem jest Góra Modrzewiowa (185 m n.p.m.), z której rozciąga się rozległy widok na Drzonów, Radomię i Trzebulske Podgórze. Cały obszar jest zalesiony, występuje mieszaný drzewostan. Z drzew iglastych spotykamy sosnę i duże skupiska modrzewia i świerku, a z liściastych brzozę, dąb, akację, buk z siedliskiem zwartym w środku terenu. Występująca duża różnorodność form krajobrazowych, szczególnie ukształtowanie terenu i bogata szata roślinna oraz dogodność dojazdów i powroty, zachęcają do pieszych wędrówek w ciągu całego roku. Przez wschodnią część Roztocza prowadzi tylko czarny szlak turystyczny, który rozpoczyna się w Zielonej Górze i przez Wzgórza Piastowskie, okolice Słonego i Buchałowa doprowadza do Drzonowa. Piesze wędrówki można także odbywać po drogach

i ścieżkach leśnych. Baza żywieniowa jest skromna, ale we wszystkich miejscowościach, jak Słone, Wilkanowo, Świdnica i Buchałów znajdują się sklepy spożywcze, a w Słone i Świdnicy również bary. Zabytki godne obejrzenia są tylko w Świdnicy. We wsi zachował się późnorenansowy dwór, dawna rezydencja rodu Kitliczów. Wzniesiony na przełomie XVIII i XIX w., przebudowany pod koniec XVIII i XIX w. Od 1979 r. we dworze czynne jest Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza z bogatymi zbiorami wykopalisk archeologicznych na Ziemi Lubuskiej.

Warto zwiedzić również w Świdnicy kościół parafialny p. w. św. Marcina. Wzniesiony został w XIV w. jako kamienna budowla jednonawowa z wyodrębnionym, zamkniętym trójbocznie prezbiterium. Z wyposażenia wnętrza na uwagę zasługuje barokowy ołtarz główny z piękną rzeźbą Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Ponadto zachował się zespół renesansowych nagrobków z XVI-XVII w., wmurowanych w ściany nawy i zakrystii.

Z Zielonej Góry na Roztocze Buchałowskie można dojechać autobusami MKZ linii „28” przez Wilkanowo do Świdnicy lub linii „29” przez Wilkanowo do Słonego. Do Buchałowa jest dojazd koleją i autobusami PKS. Powroty do Zielonej Góry ze wszystkich miejscowości również są dogodne.

Jerzy Łatwiński



Zielonogórskie platany

Platan należy do jednych z najpiękniejszych gatunków drzew rosnących w parkach lub alejach. To, co go wyróżnia spośród innych drzew, to pień z charakterystycznie odpadającą płatami korą. Cechą tego gatunku jest to, że co roku latem zrzuca płaty kory, odsłaniając jasnożółte fragmenty pnia na tle starej zielonej lub brązowej kory. Często zaniepokojeni ludzie pytają dlaczego drzewo umiera i odpada z niego kora. Wszystko jest jednak w porządku.

Dzięki kolorowej korze, ciekawym owocom, wielkim liściom, często sadzony jest w parkach lub przy rezydencjach. Drzewo to lubi gleby wilgotne i dawniej nazywane było wodnym bukiem. Nie jest to gatunek pospolity w naszym kraju. U nas występuje jedynie *Platanus acerifolia*, który jest mieszańcem dwóch gatunków: platanu zachodniego *Platanus occidentalis* pochodzącego z Ameryki Północnej oraz platanu wschodniego *Platanus orientalis* pochodzącego ze wschodu. Ojczyzną gatunku wschodniego są Bałkany, a ściślej Grecja. Występuje on w kierunku wschodnim aż po Himalaje. Gatunki te dotarły do Europy dopiero w XVII wieku, a do środkowej Europy w drugiej połowie XVIII wieku. Platany rosną także w Zielonej Górze. Opisywali je już przedwojenni zielonogórcy przyrodnicy, zwracając uwagę na ich piękno. Kilka ładnych egzemplarzy możemy obejrzeć przy al. Niepodległości oraz przy ulicy Kazimierza Wielkiego. Dwa okazy na terenie miasta są uznane za pomniki przyrody. Jeden z nich o obwodzie 270 cm rośnie na skwerze przy ulicy Kazimierza Wielkiego, a drugi (obwód 251 cm) znajduje się przy posesji nr 15/17 położonej przy ulicy Chrobrego. Niedaleko naszego miasta, we wsi Ochla, znajduje się pomnikowy okaz tego gatunku o obwodzie 375 cm – jest więc grubszy od naszych miejskich okazów. Platan ten rośnie w parku należącym do tzw. dolnego zamku. Natomiast rosnące przy tzw. górnym zamku piękne okazy zostały (wg kronik) wycięte przez właściciela jeszcze przed

wojną. Przed ostatnią wojną posadzono platany wokół naszego ratusza od jego północnej, wschodniej i południowej strony. Związana jest z tym pewna dykteryjka. Mianowicie młode fragmenty drzewa, takie jak liście czy osadki owoców pokryte są BRĄZOWAWYMI włoskami. Po obeschnięciu włoski odpadają i unoszą się w powietrzu w ciepłe dni, powodując podrażnienia dróg oddechowych i oczu. Zmuszają przechodniów do kichania. Wiedząc o tym, właściciel szkółki leśnej sprzedający platany miał zażartować, że po posadzeniu tych drzew przed ratuszem, urzędnicy magistratu nie muszą już kupować tabaki. Platany te były sadzone w latach dwudziestych naszego wieku. Posadzono je także wtedy przy ulicy Ułańskiej i Dworcowej. Piękne okazy możemy zobaczyć w parkach podzielonogórskich miejscowości: Przytok, Buchałów, Zatonie, Ochla oraz wyjątkowy okaz (obwód 425 cm) rosnący na dziedzińcu dawnego zamku w Otyniu. Niezwykle duży okaz rośnie w Cigacicach przy posesji znajdującej się tuż przy nowym moście (widać go z mostu). Może warto wspomnieć o ogromnych i starych platanach rosnących w Ameryce (wiek 2000 lat, obwód ponad 7 m). Do ich rozmiarów naszym platanom rosnącym w zimniejszym klimacie trochę daleko. Podobno (opisy w literaturze) niedaleko Istambułu rośnie olbrzymi platan, pod którym w 1826 roku sultan Mahmud II rozbił armię zbuntowanych janczarów liczącą 15.000 żołnierzy. Ciekawe czy rośnie on tam i dziś? Gdyby ktoś dotarł tam z Zielonej Góry i miał trochę czasu niech sprawdzi i napisze do nas.

W maju platany kwitną, a ich kwiaty znajdują się na charakterystycznych długich szypułkach. Następnie pojawiają się duże owoce (kolczaste kulki wielkości orzecha włoskiego). Owoce pozostają jeszcze długo po opadnięciu liści, poruszając się na wietrze i zwracając uwagę przechodniów. Dlatego też w dawnych czasach próbowano wykorzystać platany jako choinki bożonarodzeniowe. Warto wiedzieć, że u nas najlepiej rozmnażać platany wegetatywnie. W wilgotnej glebie gałązki szybko ukorzeniają się. Można także wykorzystać nasiona.

Nasze platany wykazują znaczną odporność na dymy, pyły i chemiczne zanieczyszczenia powietrza w miastach. Narażone są jednak na wiele chorób. Jedną z nich jest opadanie liści. Liście są często atakowane przez grzyby o nazwie *Gleosporium nervisequum*. Powodują one opadanie liści i w konsekwencji zahamowanie wzrostu drzewa. Kiedy tylko zaświeci słońce, namawiamy do miejskich wycieczek i odwiedzenia naszych zielonogórskich platanów.

Leszek Jerzak



Bożonarodzeniowe obyczaje



Kolędnicy i Herody

Słowo „kolęda” pochodzi z języka łacińskiego. W Polsce oznaczało ono przede wszystkim obdarowywanie kogoś na Święta Bożego Narodzenia lub na Nowy Rok, a także pieśni śpiewane w tym okresie. Obydwa znaczenia tego wyrazu zaczęto odnosić do grup młodzieży chodzącej od domu do domu z życzeniami w okresie bożonarodzeniowym – śpiewali oni kolędy i otrzymywali w zamian „kolędę”, czyli dar obrzędowy. Te zwyczaje z czasem zlały się w jedną całość, w której elementy chrześcijańskie splatają się z pogańskimi. Dziś często w skład grupy kolędniczej oprócz pary właściwych kolędników przebranych za aniołów, „gwiazdora” noszącego gwiazdę i muzykanta, wchodzi także turoń, a czasem nawet cały orszak przebierańców.

Chodzenie z szopką

Popularne w całej Polsce chodzenie z szopką ma stare tradycje. Według legendy pierwsze szopki w kościołach miał urządzać św. Franciszek w roku 1243 we Włoszech. W Polsce rozpowszechniły się one za pośrednictwem zakonu franciszkanów w końcu XIII wieku, początkowo jako przedstawienia odgrywane w kościołach. Od roku 1736, gdy biskup Teodor Czartoryski nakazał usunięcie ich z kościołów z powodu zbyt swobodnego zachowywania się publiczności, pojawiły się już świeckie zespoły „chodzące z betlejemkami”, czyli szopkami, w których występowały kukielki.

Podstawowa akcja przedstawienia szopkowego była oparta na scenach biblijnych Bożego Narodzenia: pokłony pasterzy, hołd Trzech Króli itp. Wzbogacono je jednak o epizody z domu króla Heroda i różne drobne scenki obyczajowe. Właśnie te scenki dawały zawsze największe pole do popisu autorom tekstu, którzy dopasowywali je do aktualnych potrzeb środowiska, wykpiwali jego wady i wprowadzali na scenę po-

pularne postacie. Nie darmo „szopką” nazywano satyryczny teatr polityczno-obyczajowy. Przykładem takiego właśnie zastosowania tradycyjnej formy do przedstawienia aktualnej sytuacji Polski było m.in. słynne „Betlejem Polskie” L. Rydla, wystawione w 1901 roku, w którym jako Heroda pokazywano zaborczych władców, a rzeź niewinnych kojarzyła się z tragedią dzieci z Wrześni.



Szopki w Polsce bywają różnych kształtów, najczęściej jednak budowane są na wzór miejscowej architektury sakralnej lub świeckiej. Najdoskonalszym tego przykładem są szopki krakowskie, zawsze z wieżami, z których chociaż jedna musi być podobna do wieży kościoła Mariackiego. Szopki te stanowią często cały przegląd zabytkowej architektury Krakowa.

Stanisław Prałat

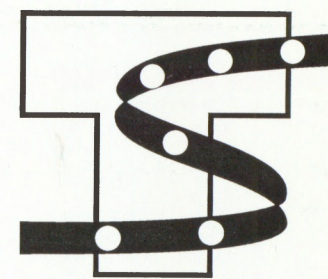


Z „Poradnika życia praktycznego”
nakładem Cz. Gralikowskiego Kraków 1946 r.

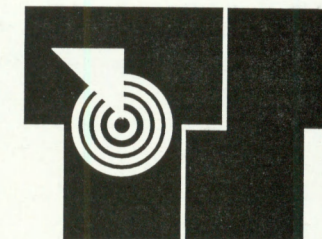
Pani domu i porady różne

- ♦ Mąka nie stęchnie, gdy ją raz na tydzień przekopujemy do dna w pudle dokładnie kijem.
- ♦ Butelki tłuste czyścimy węglem drzewnym, lub z upalonych kości.
- ♦ Psa oduczmy ścigania kur, gdy jedną spętamy i położymy koło psa i każemy mu „warować”.
- ♦ Klawisze od fortepianu czyścimy w rozcieńczonym spirytusie.
- ♦ Młynek do kawy czyścimy przez przepuszczenie przez niego drobnego piasku.
- ♦ Pisma napisanego ołówkiem nie zmażemy po namoczeniu w chudym mleku.
- ♦ Korkociąg może zastąpić śruba do drzewa okręcona drutem.
- ♦ Świece palą się dłużej, gdy na nie nasypujemy soli.
- ♦ Mleko nie skwaśnieje, gdy na dno włożymy trochę tartego chrzanu.
- ♦ Cytryny przechowują się długo w suchym przesianym piasku.
- ♦ Konfitury i owoce nie psują się, gdy zalejemy je wódką lub spirytusem.
- ♦ Sera robactwo nie psuje, gdy jest owinięty w liście orzechów.
- ♦ Sól nie robi się wilgotną i nie stwardnieje, gdy dodamy parę ziarenek ryżu.
- ♦ Chleb, bułki nie starzeją się, gdy umieścimy w puszcze z przekrojonym jabłkiem.
- ♦ Kura młoda ma czerwony grzebień, dłuższe pazury, zaś stara ciemniejszą skórę, matowy grzebień i krótsze pazury.
- ♦ Węgiel nie spala się szybko, gdy posypimy go solą.
- ♦ Cebulę obierać pod wodą unikniemy łzawienia.
- ♦ Powietrze w pokoju odświeżymy przez spalanie w pokoju na łopatkę kilku ziarenek kawy.
- ♦ Pocenia się nóg unikamy przez moczenie w odwarze kory dębowej.
- ♦ Łupież ginie od mycia głowy w herbacie lipowej.
- ♦ Człowiek powinien jeść wtedy, kiedy jest głodny.
- ♦ Choroba nie rozprzestrzenia się, gdy nie chodzimy do sąsiadów i myjemy ręce.
- ♦ Do mieszkania, do którego nie zagląda słońce - tam zachodzi często lekarz.
- ♦ Sprzątać najlepiej wtedy, gdy wszyscy wyjdą.
- ♦ Gdy noworodek podczas urodzenia nie oddycha, należy mu dać klapsa, włożyć naprzemian do ciepłej i zimnej wody, lecz nie wolno dmuchać mu w usta.
- ♦ Stałe zostać młodą można, pijąc sok czosnkowy.
- ♦ Linie zachowamy pijąc na czczo codziennie szklankę zimnej wody.
- ♦ Pająków nie należy tępić, bo są pożyteczne.
- ♦ Mole nie atakują rzeczy zawiniętych w papier gazetowy.
- ♦ Mrówki nie lubią mięty rozłożonej na ich drogach skąd przychodzą.
- ♦ Krety przepędzimy z trawników i klombów, gdy włożymy do nor główki od śledzi.
- ♦ Myszy giną od trutki: fosfor z zapalek zarobiony serem.
- ♦ Cebula w ogrodzie wypędza myszy.
- ♦ Nogi pocące się myć wodą z octem.
- ♦ Kapusta kiszona surowa jest znakomitą środkiem bakteriobójczym.
- ♦ Czkawka minie po połknięciu szczypty soli.
- ♦ Przeciwko chrapaniu nogi łóżka podnieść, głowę niżej kłaść.
- ♦ Od palenia papierosów można się odzwyczaić jeść dużo jabłek.
- ♦ Fotografie czyścimy watą umoczoną w spiryтуsie.
- ♦ Skóra nie pęka, gdy smarujemy rycyną.
- ♦ Pioruny najczęściej trafiają: w dąb, sosnę, topolę, najrzadziej w brzozę i klon.

TOTALIZATOR SPORTOWY



MULTI
LOTEK

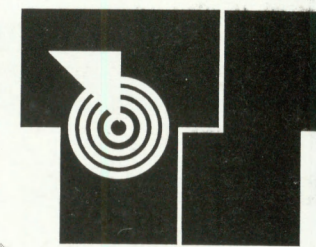


TOTALIZATOR SPORTOWY

Pomóż szczęściu
- zagraj w

TOTO-LOTKA!

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO
„TOTALIZATOR SPORTOWY”
w ZIELONEJ GÓRZE
zaprasza do swoich kolektur



TOTALIZATOR SPORTOWY



*W*iniaki, wódki i likiery produkowane były w Zielonej Górze od bardzo dawna. Utworzona w 1945 r. Lubuska Wytwórnia Wódek Gatunkowych „Polmos”, przejęła dawne tradycje produkcji gatunkowych trunków, a przez pięćdziesiąt lat swojego istnienia dorobiła się własnych. W wiekowych i całkiem nowych budynkach, zgodnie ze ściśle strzeżonymi recepturami, produkowane są dziesiątki gatunków alkoholi.

Winiaki, wódki i likiery, a od niedawna także whisky i gin znane są nie tylko zielonogórzanom, ale na całym świecie. Świadczą o tym najlepiej medale zdobyte przez produkty LWWG na targach i wystawach.

Współcześnie LWWG należy do najnowocześniejszych polskich przedsiębiorstw produkujących alkohole z powodzeniem konkurującym z najlepszymi producentami na świecie.

LWWG to także sponsor wielu imprez sportowych i kulturalnych w Zielonej Górze i regionie.

Polmos

**Lubuska
Wytwórnia
Wódek
Gatunkowych
w Zielonej Górze**

Rok powstania 1945



Fot. L. Krutulski-Krechowicz